Edmond Hamilton

Złowroga inwazja

(The Sinister Invasion)

Imagination, June 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novella "The Sinister Invasion" by Edmond Hamilton, first publication in Imagination, June 1957, published by Project Gutenberg, June 1, 2021 [eBook #65483].
According to the included copyright notice: "This etext was produced from Imagination Stories of Science and Fantasy June 1957. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.".

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

To dziwne, jak łatwo było wyjść z własnego życia, prosto ze starej, znajomej Ziemi, w ramiona kosmicznej tajemnicy! Wystarczyło w tym celu jedynie, jak sobie później pomyślał Birrel, otworzyć drzwi…

Kiedy Birrel wszedł do swojego mieszkania przy 71 Ulicy, zapalił światło i schował klucze do kieszeni, nagle stanął jak wryty, sparaliżowany przez zaskoczenie.

Przed nim stał człowiek, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy. Zupełnie zwyczajnie wyglądający człowiek, w szarym kapeluszu, szarym garniturze i szarawej twarzy, u schyłku młodości. Jego głos brzmiał łagodnie, gdy zapytał:

— Ross Birrel?

— Zgadza się — odparł Birrel. Po chwili gniew przezwyciężył jego zaskoczenie. — Kim pan jest i jak, u diabła, się pan tutaj dostał?

— O tym porozmawiamy później — stwierdził szary człowiek. W tej chwili chciałbym, żeby pojechał pan ze mną. Sprawa państwowa.

— Jakiego rodzaju sprawa państwowa?

— O tym także porozmawiamy później.

Birrel ruszył do przodu, jego cierpliwość niebezpiecznie zmierzała ku wyczerpaniu. Po chwili jednak zatrzymał się. Ręka szarego mężczyzny spoczywała w kieszeni płaszcza i coś w tej kieszeni trzymała. Przybysz dorzucił:

— Proszę, nie utrudniać, panie Birrel.

Birrel zażądał:

— Jeżeli jest pan jakiegoś rodzaju urzędnikiem, to chciałbym zobaczyć pańską legitymację.

— Obawiam się — odparł jego rozmówca, — że nie mam niczego takiego.

— Tak myślałem. — Birrel zaczął ciężko sapać ze złości. — Proszę mnie posłuchać, popełnił pan błąd. Nie jestem bogatym człowiekiem, gangsterem z rywalizującej bandy, czy kimkolwiek pan chce. Jestem inżynierem elektrykiem, kawalerem i w tej chwili jestem kompletnie spłukany.

— Wiemy o tym — mruknął szary człowiek. – Czy teraz pójdzie pan ze mną?

Birrel nagle uznał, że ten człowiek zwariował. W dzisiejszych czasach Nowy Jork był pełen świrów, ludzie wywracali na lewo oczy i robili szalone rzeczy. To musiał być jeden z nich – i można było zrobić tylko jedno.

— W porządku, ale pożałuje pan tego — powiedział. Zaczął odwracać się plecami do szarego człowieka. — Kiedy zorientuje się pan, że się pan pomylił…

Birrel odwrócił się, okręcił z zaskakującą szybkością, wyciągając rękę, by trafić szyję szarego człowieka kantem dłoni, stara sztuczka, której nauczono go w OSS[1], w czasie wojny.

Nie udało się.

Szary człowiek uchylił się i uderzył fachowo lewą dłonią. Wyciągniętą rękę Birrela przeszył otępiający ból.

Po raz pierwszy szary człowiek uśmiechnął się.

— Przepraszam. Ale ja też byłem w OSS, jak pan widzi.

Birrel, trzymając się za bolącą rękę, patrzył na niego. A jednak to nie był wariat. Ale kto…?

— Proszę mnie posłuchać, panie Birrel. Nie mam żadnych złowrogich zamiarów przeciwko panu, w żadnej formie. Mamy tylko propozycję, którą chcemy panu przedstawić. Może pan ją przyjąć lub odrzucić. Ale niestety muszę to zrobić w tajemnicy. Dlatego nie mogłem do pana zadzwonić, napisać, ani zwrócić się do pana publicznie.

Birrel szybko myślał. Nie żaden świr, nie. Ale jakiego rodzaju sprawy państwowe musiały pociągać za sobą, tę całą tajemnicę? Wcale mu się to nie podobało.

— A więc jak, pójdziemy?

Birrel zmierzył wzrokiem dłoń w kieszeni płaszcza. Poszedł.

Wyszedł na chłodną, ciemną, mokrą 71 Ulicę, Właśnie ustał letni deszcz i czerwono-białe neony w kierunku Broadwayu, wesoło odbijały się na mokrym asfalcie. Koło domu czekał sedan z człowiekiem za kierownicą.

Usłyszał łagodny głos tuż za swoim uchem.

— Proszę wsiąść do środka, panie Birrel.

Samochód powiózł ich West Side Highway, pozostawiając za sobą elektryczny blask Manhattanu. Przed nimi, ponad czarnym korytem rzeki, wisiały łukiem przygaszone światła mostu George'a Washingtona.

Birrel siedział na tylnym siedzeniu, a na jego drugim końcu usiadł, trzymający się od niego z dala, szary człowiek. Nie widział kierowcy poza kawałkiem grubego karku pod kapeluszem.

Pokonali rzekę Hudson i ruszyli na zachód, obrzeżami miasta, jadąc spokojnie i szybko przez tereny wypełnione małymi fabrykami, hałdami złomu i elektrowniami.

Birrel czuł narastającą panikę. W co on się, u diabła, wplątał? Próbował domyślić się, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć go dopaść w taki sposób.

Nie potrafił niczego wymyślić. Od czasu wojny uzupełnił swoje wykształcenie, uzyskał tytuł inżyniera, dostał pracę w firmie elektrycznej na Long Island i… to wszystko. Nie znał żadnych tajemnic technicznych, nie wykonywał żadnej ściśle tajnej pracy, był kompletnie niczym niewyróżniającym się trzydziestoletnim inżynierem, i to wszystko.

A więc, dlaczego?

— Niech pan mnie posłucha — powiedział. — Wiem, że to jest pomyłka…

[1] Office of Strategic Services (OSS), ang. Biuro Służb Strategicznych – agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych działająca w latach 1942–1946. Poprzednik CIA (przyp. tłum. za wikipedią)

— Nie ma żadnej pomyłki — odparł szary człowiek. Dodał jeszcze: — Jesteśmy już prawie na miejscu.

„Na miejscu" było to wysokie ogrodzenie z drutu, z zamkniętą bramą i czerwonym napisem: PRZEMYSŁOWE ZAKŁADY PRODUKCJI CYJANU – NIEBEZPIECZEŃSTWO, NIE WCHODZIĆ. Z małego drewnianego budynku za bramą, wyszedł jakiś człowiek, otworzył ją kluczem i odsunął. Samochód pojechał dalej.

Zatrzymali się po chwili przed dużym, ciemnym, staroświeckim budynkiem zbudowanym z cegieł, wyglądającym na porzucony, nieużywany. Jedyne światło dawała obskurna żarówka nad frontowymi drzwiami.

— To tutaj, panie Birrel. Proszę pójść ze mną.

W środku Birrel doznał ogromnego zaskoczenia. To nie było przepastne, ciemne wnętrze, jakiego się spodziewał. Było jasno oświetlone, wypełnione odgłosami pracy maszyn do pisania i dalekopisów, stukotem obcasów po podłodze korytarzy.

Stary budynek fabryczny, jak teraz zauważył, pozbawiony był zupełnie okien. Za obskurnymi ścianami i zamurowanymi otworami okiennymi, znajdowały się co najmniej dwa piętra wypełnione biurami. Drzwi do wszystkich pomieszczeń były zamknięte, ale słychać było zza nich szmer i brzęczenie energicznej pracy.

Człowiek o szarej twarzy popchnął go w stronę jednych z drzwi. Gruby kierowca gdzieś sobie poszedł.

Birrel rozejrzał się po pozbawionym cech charakterystycznych małym gabinecie, z poobijanym stołem, kilkoma krzesłami biurowymi i niczym więcej.

Odwrócił się.

— Co to, u diabła, za miejsce?

— Agencja rządowa — odparł Szara Twarz.

Birrel powiedział:

— Proszę posłuchać, jak długo zamierza pan trzymać to…

Przerwał i zdał sobie sprawę, że szczęka zwisa mu w ogłupiałym zdumieniu. Do biura wszedł mężczyzna.

Przysadzisty mężczyzna o szarych włosach, w wieku pięćdziesięciu lub więcej lat, z ciężką, pokrytą bliznami po szwach twarzą i oczami niewiele delikatniejszymi od twardego kamienia. Birrel nigdy wcześniej nie spotkał się z nim twarzą w twarz, jednak znał go.

— Ale…

— Tak — powiedział Szara Twarz, najwyraźniej dobrze się bawiąc. — To jest pan John Connor. — Odwrócił się do mężczyzny i powiedział: — Oto on, panie Connor. Zdaje się, że pomyślał, iż zabieramy go na przejażdżkę.

— W porządku, Paley — oznajmił szorstko Connor. — Siadaj, Birrel. Przepraszam, że cię tu ściągnąłem, ale to ważne. Czy ściągniesz z twarzy tę głupią minę i usiądziesz?

Birrel usiadł i ciężko przełknął. Tego się nie spodziewał.

Był w OSS przez ponad rok i nigdy nawet się nie zbliżył do Johna Connora, najsłynniejszego z mózgów kierujących służbą. A teraz, jedenaście lat później, spotkał go w taki dziwny sposób, w zamaskowanej fabryce, która była biurem…

Birrel słabo wykrztusił:

— A więc, to jednak jest agencja rządowa?

— Jest – wyjaśnił Connor. — Najbardziej tajna ze wszystkich. Nie udzielamy wywiadów i nie mamy adresu, jak CIA i FBI. — Skinął głową w stronę szarego człowieka. — Zrozumiesz, dlaczego wysłałem po ciebie Paleya w taki sposób, dlaczego nie mogłem do ciebie napisać ani zadzwonić.

— Ale myślałem, że po wojnie odszedł pan na emeryturę! — zawołał Birrel. — Gazety…

John Connor stwierdził z niesmakiem:

— Jaki do diabła był z ciebie funkcjonariusz OSS, jeśli wierzysz we wszystko, co wyczytasz w gazetach.

Birrel myślał, że teraz już wszystko rozumie. Jedna z tajnych agencji kontrwywiadu, która broniła Ameryki – tak tajna, że prawdopodobnie nawet niewielu urzędników państwowych o niej wiedziało. Ale…

Szorstki głos Connora odpowiedział jego myślom.

— Potrzebujemy człowieka, Birrel. Do pewnej pracy. I to musi być człowiek, któremu możemy całkowicie zaufać. Dlatego przejrzeliśmy pliki OSS i znaleźliśmy ciebie.

— Och, proszę posłuchać — zaprotestował Birrel, wstając. — Służyłem w OSS całe lata temu, teraz mam zawód, a w tej chwili nie toczymy żadnej wojny. Może pan sobie znaleźć lepszych agentów niż ja…

Connor oznajmił brutalnie:

— Mógłbym znaleźć pięciuset agentów lepszych od ciebie. Wolałbym mieć każdego z nich bardziej, niż ciebie. Niestety, ty masz coś, czego oni nie mają.

— Co?

— Właściwą twarz, Birrel.

Birrel nie zrozumiał, nie zrozumiał kompletnie. Ale Connor nie dał mu czasu do namysłu. Zaczął go naciskać:

— Pomógłbyś nam, gdybyś pomyślał, że to może oznaczać życie lub śmierć dla twojego kraju, prawda?

Birrel wiedział, że zaraz wpadnie w pułapkę, ale mógł na to odpowiedzieć tylko jeden sposób.

— Pewnie, ale…

Connor mu przerwał.

— Świetnie. Teraz ci kogoś pokażę, Birrel. Chodź ze mną.

Wyszli z biura i ruszyli długim korytarzem, a potem w dół po betonowych schodach. Connor w czasie drogi nie odzywał się, Paley też.

W znajdującym się na dole piwnicznym korytarzu, o cementowych ścianach, panował chłód. Na suficie jarzyły się światła. Przed zamkniętymi stalowymi drzwiami stał czujny młody człowiek z pistoletem maszynowym na ramieniu.

Connor skinął mu głową i powiedział:
— W porządku.
Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.
Zanim nie znaleźli się w pomieszczeniu i nie zamknęli za sobą drzwi, ani Connor ani Paley nie odezwali się nawet jednym słowem.
Birrel rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie, lodowato zimny betonowy boks, było zupełnie puste poza szpitalnym stołem, na którym leżało długie coś, przykryte prześcieradłem. Dolatywał od tego silny odór środków chemicznych.
Poczuł falę ulgi. Więc to dlatego został tu przywieziony, w takiej tajemnicy – żeby zidentyfikować zmarłego? To było jedyne możliwe wytłumaczenie…
— Sześć tygodni temu — mówił Connor — w pobliżu jednego z naszych najbardziej tajnych składów atomowych, zauważony został jakiś włóczęga. Próbował uciec. Został ostrzelany i zabity na miejscu.
Dodał po chwili:
— No dobrze, Paley. Odkryj go.
Paley podszedł do stołu. Złapał za białe prześcieradło. Jego ręka lekko drżała, a na czole nagle pojawiły się krople potu, pomimo panującego w pomieszczeniu chłodu. Wyglądał, jakby wcale nie chciał wykonać rozkazu.
Chrapliwy oddech Connora brzmiał głośno. Birrel zastanawiał się, dlaczego byli tak poruszeni. Z pewnością nie widokiem martwego człowieka — oni, nawet częściej niż on, w czasie wojny widzieli wielu zabitych.
Prześcieradło zostało podciągnięte do połowy. Na stole leżał nagi człowiek, jego ciemne oczy wpatrywały się w sufit, niewidzącym spojrzeniem.
Był dosyć młody, czarnowłosy, o lekko śniadej skórze i kwadratowej, nie wyróżniającej się twarzy. Wyglądał mgliście znajomo...
Ze wstrząsem Birrel zdał sobie sprawę, że martwy człowiek nie wyglądał zupełnie odmiennie od niego samego. Nie było to może podobieństwo bliźniacze, ale naprawdę duże.
Szybko popatrzył na Connora. Był zdumiony wyrazem powagi na jego twarzy. Zmarszczki na niej wyraźnie się pogłębiły. Jego na wpół zwężone oczy wpatrywały się w martwego człowieka niemal jak zahipnotyzowane.
Paley odsunął się od stołu i na jego szarej twarzy pojawiło się napięcie, gdy patrzył na nich ponad ciałem.
— To był szpieg — wyjaśnił, — nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. I to bardzo zręczny, skoro dostał się do strzeżonego obszaru.
Birrel zapytał:
— Z jakiego kraju?
Connor popatrzył na niego. Odparł:
— Z żadnego kraju. Widzisz, przeprowadziliśmy jego sekcję zwłok i…
Przerwał. Wyglądało to, jakby słowa które zamierzał wypowiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło, jak gdyby aby je z siebie wydusić, musiał się przeciwstawić wszystkiemu w co wierzył i co myślał przez całe swoje życie.
— On w ogóle nie był z Ziemi. Pochodził z innej planety.

ROZDZIAŁ II

Birrel wciąż nie potrafił przyjąć tego wszystkiego do świadomości.

Minęły dwie godziny, a on siedział w gabinecie Connora, słuchając, kłócąc się i ciągle nie wierząc.

Przez cały czas towarzyszył im Paley, zgarbiony, jakby na wpół spał na krześle w kącie. Siedział z nimi jeszcze jeden człowiek, młody mężczyzna o nazwisku Garlock, z błyszczącymi okularami i zębami, oraz ostrym głosem. Ale przez większość czasu mówił Connor.

— Wiem, że to fantastyczne — mówił po raz dziesiąty. — Lecz taka jest prawda.

— Ale on wygląda jak człowiek… — powtórzył Birrel.

— On jest człowiekiem. Ale jest inny. Jego krew, nikt nigdy wcześniej takiej nie widział. Jego komórki, układ nerwowy, tkanka kostna i mięśniowa, wszystko to różni się od swoich ziemskich odpowiedników. Mógłbym ci pokazać raport doktora Blounta, ale nic by to dla ciebie nie znaczyło. Jednak gdybyś zobaczył twarz Blounta… już tylko ona sama wystarczyłaby żeby cię przekonać.

— Ale mamy przecież rok 1956 — argumentował Birrel. — Wciąż tylko mówimy o lotach w kosmos. I tylko kompletne świry wierzą w statki i ludzi z innych planet.

Connor skrzywił się.

— Przestań. Czuję się, jakbym słuchał tego, co sam mówiłem Blountowi. Posłuchaj. Dwóch z najlepiej wykwalifikowanych biologów w kraju, przebadało to ciało. W pełni się ze sobą zgadzają. Nie pochodzi ono z Ziemi.

Birrel otworzył usta, żeby coś powiedzieć i po chwili je zamknął. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

Stał wobec ogromu niemożliwych do zaakceptowania faktów, podobnie jak wcześniej musieli się z nimi zmierzyć ci ludzie. Człowiek, gość, potajemny gość z innej planety. W tym prostym, rzeczowym biurze, wydawało mu się to kompletnie niemożliwe, jak przeczytana i odłożona na półkę książka, jak szalony film, z którego śmiał się wychodząc. Most Jerzego Waszyngtona znajdował się zaledwie kilka mil stąd, jutro Giganci mieli grać z Piratami, a piątek był dniem wypłaty, zaś jakiś człowiek przybył z innej planety.

— Ale skąd? — wyszeptał w końcu Birrel. — I dlaczego?

Connor ciężko westchnął.

— W końcu do czegoś dochodzimy. Wiem, jak trudno to znieść. Każdego ranka, kiedy się budzę, z początku wydaje mi się, że to był tylko szalony sen… — urwał, a potem dodał szorstko: — Skąd? Nie wiem, nie mam zielonego pojęcia. Niebo jest pełne planet. Wybierz sobie którąś.

Przez głowę Birrela przemknął koszmarny kalejdoskop wszystkich gwiazd i planet wszechświata. Niebo jest pełne planet. Tak. Nigdy wcześniej jakoś nie przyszło mu to do głowy.

— Natomiast, nie ma żadnych wątpliwości, dlaczego — mówił dalej Connor. — Ten człowiek zginął w pobliżu jednego z naszych najbardziej strzeżonych magazynów broni atomowej. Został zabity w czasie próby ucieczki. Był szpiegiem.

— Szpiegował, dla... — głos Birrela zamilkł jak ucięty nożem.

— Zgadza się, Birrel. Dla jakiegoś Skądinąd, jakiegoś miejsca, które nie znajduje się na Ziemi.

Garlock odezwał się do Connora, przerywając mu.

— Przekazujesz mu to za szybko, John. Nam oswojenie się z tym zajęło całe tygodnie, a ty łapiesz człowieka i walisz mu prosto z mostu wszystko co wiemy. On potrzebuje więcej czasu…

— To ja prowadzę tę sprawę, a my nie mamy więcej czasu — odparł szorstko Connor.

Birrel prawie ich nie słyszał. Czuł się tak, jakby jakieś trzęsienie ziemi wywróciło mu umysł na nice, wstrząsnęło wszystkimi jego przyjmowanymi z góry aksjomatami, podstawami jego myślenia ukształtowanymi przez całe życie.

— Ale — powiedział powoli do Connora — szpieg z jakiegoś innego miejsca w kosmosie, z innej planety… czy to oznacza niebezpieczeństwo? Jakieś zagrożenie z kosmosu?

Connor rozłożył swoje wielkie jak łopaty dłonie na biurku.

— Nie wiemy. Nie wiemy, co to oznacza. Ale ta agencja ponosi najwyższą odpowiedzialność za bezpieczeństwo kraju przed tajnymi wrogami. Niezależnie od tego, czy są oni Ziemianami, czy nie! Musimy założyć, że to oznacza zagrożenie.

— Ale czy ta jego obecność w pobliżu składu atomowego, nie może być tylko przypadkowa? — W głowie Birrela pojawiła się myśl. — Gość z kosmosu, który pojawia się potajemnie, aby dowiedzieć się czegoś o naszej wiedzy naukowej…

Connor uśmiechnął się ponuro.

— Szkoda, że nie możemy przyjąć takiego wyjaśnienia. Ale my wiemy, że jest inaczej. Pokaż mu, co znaleźliśmy, Jay.

Garlock podszedł do sejfu, otworzył go, wyjął jakiś niewielki przedmiot i wrócił. Powiedział do Birrela:

— Oprócz samego ciała tego człowieka, znaleźliśmy jeszcze dwie rzeczy. Ćwierć mili od niego znaleźliśmy dziwacznie wypalone miejsce w ziemi, spopielone zagłębienie. Nie mamy w ogóle pojęcia, jak ono mogło powstać. Druga ze znalezionych rzeczy, znajdowała się w jego kieszeni.

Położył na biurku przyniesiony przedmiot. Birrelowi wydawał się on podobny do czarnej plastikowej przeglądarki do filmów, takiej jak używane do oglądania kolorowych slajdów. Powiedział to, a Garlock skinął głową.

— Dokładnie do tego to służy. Tyle, że jest to przeglądarka pochodząca z jakiegoś innego miejsca w kosmosie. Włączę ją. Potem popatrz w nią.

Z nerwami napiętymi jak postronki Birrel przyłożył okular urządzenia do oczu. Czy zobaczy za chwilę niesamowite widoki z innej planety, w…

Ale nie. Patrzył na kolorowy obraz wnętrza wielkiego laboratorium, które z pewnością było współczesnym laboratorium na Ziemi. Potrafił wymienić wiele urządzeń znajdujących się w pomieszczeniu. Wyglądało to jak warsztat eksperymentatora, fizyka atomowego, na dużą skalę.

Birrel rzucił tylko wzrokiem, po czym gwałtownie drgnął i odsunął przeglądarkę od oczu.

Przy jego uchu odezwał się męski głos – cichy, lecz mówiący szybko, autorytatywny, o precyzyjnej dykcji.

Przemawiał w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszał.

— Co…? — krzyknął zaskoczony.

Connor i Garlock pokiwali głowami.

— Głos — odparł ten ostatni — jest na filmie.

— A to, co widziałeś — dodał beznamiętnie Connor, — to zdjęcie najbardziej tajnego laboratorium atomowego w Los Alamos. Wyciągnął rękę i wziął przeglądarkę w dłoń. — W tym urządzeniu znajduje się pięćdziesiąt sześć zdjęć, każde ze szczegółowym komentarzem głosowym, podobnym do tego, jaki słyszałeś przed chwilą. To są zdjęcia — bardzo szczegółowe zdjęcia — ściśle tajnych składów atomowych, magazynów i arsenałów.

— Ale jakim sposobem mogli... — zaczął Birrel. Connor mu przerwał.

— Nie mamy zielonego pojęcia, jak to zrobili. Najwyraźniej mają przyrządy, których my nie mamy, pozwalające im zaglądać w różne miejsca. To, czego chcielibyśmy teraz się dowiedzieć, to „Dlaczego” i „Kto”. Zwłaszcza, „Kto”.

Wstał i zaczął chodzić w tą i z powrotem, szybko zawracając. Ze zdumieniem Birrel zdał sobie sprawę, że jeszcze nie ma północy. Wydawało mu się, że musiała minąć cała wieczność, a nie tylko parę godzin.

Connor zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

— I w tym miejscu, wchodzisz właśnie ty, Birrel.

To wyrwało Birrela z kłębiącego się mu w głowie chaosu wyobrażeń o odległych planetach i gwiazdach, kosmicznych intrygach i niczego niepodejrzewającej Ziemi.

— Ja?

— Pomożesz nam odnaleźć siatkę agentów z tego Skądinąd.

— Ale sam pan mówił, że ma lepszych agentów niż ja!

Connor skinął głową.

— Ale, powiedziałem ci również, że to ty masz właściwą twarz. Przejrzeliśmy zdjęcia kilku tysięcy byłych agentów, żeby odnaleźć twoją twarz, Birrel. — Przerwał. Potem zaczął mówić dalej: — Naszym jedynym konkretnym tropem do tej bandy, kimkolwiek by oni nie byli, jest ten martwy człowiek. Był jednym z nich. Gdyby żył, można by go śledzić aż do

czasu gdy skontaktuje się z innymi. Ale on nie żyje. A więc, aby podjąć ten trop, musimy użyć sobowtóra.

Birrel był odrobinę otępiały ze zdumienia, ale nie był głupcem i natychmiast zrozumiał sugestię Connora.

Była to jedna z najstarszych sztuczek w arsenale kontrwywiadu. Jeden z ludzi udawał szpiega wroga, aby nawiązać kontakt, który będzie mógł doprowadzić do pozostałych. Stara sztuczka i ryzykowna – nawet w zwykłych okolicznościach. Ale w tym przypadku była to fantasmagoria.

— O nie — odparł Birrel. — To się nie może udać, nie ma szans. Nie jestem aż tak bardzo do niego podobny…

— Masz niezbędne podstawowe cechy — powiedział Connor. — Kształt czaszki, uszy, rzeczy, których nie da się zakamuflować. Nasi eksperci od charakteryzacji mogą zrobić resztę.

— Ale jak miałbym choćby przez chwilę udawać tego człowieka, skoro nie znam jego języka? Przy pierwszej okazji, gdy którykolwiek z pozostałych coś do mnie powie, będę skończony.

— Możemy nauczyć cię ich języka, w całkiem sporym zakresie — wyjaśnił Connor. — Wystarczająco dużym, żeby nie rozpoznali natychmiast że jesteś podstawiony. Szybko zostaniesz wykryty – ale wtedy już na nich wsiądziemy.

Birrel wpatrywał się w niego, zastanawiając się, czy to było w ogóle możliwe dla człowieka.

— I pan może mnie nauczyć choćby skrawka tego języka z innej planety?

Connor odparł:

— Grossman może. To jest, jeśli nie wiesz, jeden z najlepszych lingwistów na świecie. Zajmuje się tym już od kilku tygodni. Używając mówionego komentarza z przeglądarki filmów, tego głosu, który za każdym razem opisywał konkretną przedstawioną scenę, pracował nad powiązaniem słów i obrazów, dopóki nie zbudował słownika całego języka. Jest on jeszcze zgrubny, ale obejmuje zakres składający się z kilku tysięcy słów, zestaw reguł gramatycznych i – przede wszystkim – dokładną reprodukcję akcentacji i wymowy, zgodną z tym nagranym głosem. Przy odrobinie szczęścia, to wystarczy żebyś mógł spędzić trochę czasu z obcymi. To wszystko, co jest nam potrzebne.

Garlock przerwał Connorowi, mówiąc do niego gorąco:

— Popatrz na jego twarz! Mówię ci, przekazujesz mu to za szybko, nie możesz tak od razu wszystkiego na niego zwalić.

Connor zignorował protesty. Usiadł ponownie przy biurku, a jego ponure oczy utkwione były w twarzy Birrela.

— I tak to wygląda. Skąd oni się wzięli, jak wygląda to miejsce z którego przylecieli, nie mamy nawet cienia pojęcia. Ilu ich jest na Ziemi, też nie wiemy. Ale ten człowiek nie mógł tutaj przylecieć sam. Więc są też inni. Z pewnością.

Nachylił się do przodu, jego ochrypły głos uderzył w Birrela.

— Sprawimy, że będziesz wyglądać jak ten martwy człowiek. Grossman nafaszeruje cię jego językiem, ile tylko będziesz w stanie wytrzymać. Potem wsadzimy cię do więzienia. Ogłosimy, że

niezidentyfikowany szpieg został złapany w pobliżu instalacji atomowej, kilka tygodni temu, i że nadal jest zatrzymany dla potrzeb śledztwa. Opublikujmy to w gazetach.

— I wtedy, co?

Connor wyjaśnił:

— Ci inni – będą się zastanawiać, co się stało z ich kumplem. Przy tej robocie, był sam, jesteśmy tego pewni. Kiedy usłyszą, że siedzi w więzieniu, na pewno spróbują się z nim – z tobą – skontaktować.

— Skąd jest pan taki pewny, że tak właśnie zrobią?

— Ponieważ — odparł powoli Connor — muszą. To tajna operacja. Muszą uniemożliwić nam wykrycie, kim jest nasz więzień, że pochodzi on spoza Ziemi.

Jego głos zrobił się surowy.

— Oni są zagrożeniem, Birrel. Skądkolwiek przybyli, są niebezpieczni. Być może to największa groźba, z jaką kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Musimy ich odnaleźć. A ty musisz nam pomóc.

Nie prosił o tę pomoc, on rozkazywał. Z dziwnym wrażeniem nierzeczywistości Birrel wiedział, że nie może sprzeciwić się temu żądaniu.

Connor wstał.

— Zostaniesz tutaj, do czasu aż cię przygotujemy. Przygotowanie cię zajmie parę tygodni, poświęcając temu każdą chwilę.

Kilka tygodni później, z twarzą innego człowieka, Birrel siedział samotnie w izolowanej celi nowojorskiego więzienia. Siedział niedowierzając, czekając na niemożliwą rzecz, na przybycie tajemniczego kogoś z dalekiego kosmosu.

Nie musiał długo czekać.

ROZDZIAŁ III

Przybyli dziesięć minut przed północą.

Birrel siedział w swojej celi od jakichś dwudziestu godzin. Cela znajdowała się głęboko w kazamatach więzienia w centrum Manhattanu. Było to izolowane pomieszczenie dla samotnego, ważnego więźnia.

Miał teraz inną twarz, twarz martwego człowieka. Ubranie, które miał na sobie, należało do tego człowieka. Do pewnego stopnia potrafił mówić językiem tego człowieka. Nie był Rossem Birrelem, był człowiekiem ze Skądinąd.

— Jak się nazywam na tamtej planecie? — zastanawiał się Birrel. — Podszywam się pod kogoś, i nie wiem nawet kim lub czym on był…

Poza tym, że człowiek pod którego się podszywał, był szpiegiem. Tajnym agentem nieznanej, odległej planety, tropiącym tajemnice obronne Ziemi.

Birrela ogarnęła fala zimnego niedowierzania. To ciągle było zbyt fantastyczne, zbyt niewiarygodne. Naukowcy mylili się co do tego ciała, musieli się mylić. Connor się mylił.

Ale Connor tkwił w swym ponurym przekonaniu. Zanim jego ludzie zabrali Birrela do więzienia, oznajmił:

— Ci ludzie z kosmosu stracili agenta. Cennego człowieka, z cennymi informacjami. Skontaktują się z tobą natychmiast, kiedy w gazecie pojawi się nasza historyjka.

— W zamkniętej celi we więzieniu? — zauważył z niedowierzaniem Birrel. — Jakim cudem?

— Mam takie przeświadczenie — powiedział Connor – że oni są w stanie zrobić całkiem sporo rzeczy, których my nie potrafimy. Jednak my będziemy na to przygotowani. Strażnicy więzienni nie są wtajemniczeni, oczywiście. Ale będziemy w budynku i będziemy obserwować.

Dodał:

— Nie uda ci się zbyt długo ich zwodzić. Ale spróbuj. Pamiętaj, że kluczowe jest, aby doprowadzili cię do innych, do centrum tej całej sprawy, do ich bazy, gdziekolwiek by ona nie była. Będziemy szli za wami.

To było dwadzieścia godzin temu. Teraz zaś Birrel siedział w zimnej celi o kamiennych ścianach, wpatrywał się w puste stalowe drzwi i mówił sobie, że jest głupcem, a Connor to szaleniec.

Nikt nie mógł się tutaj do niego dostać, nawet gdyby ktoś próbował.

Birrel nagle uniósł wzrok. Coś się stało ze światłem, z pojedynczą żarówką oświetlającą całą jego celę.

W świetle pojawił się jakiś zielonkawy odcień. Pogłębił się, a w uszach zaczęło mu coś szumieć i…

Birrel upadł na podłogę, nieprzytomny.

Po jakimś czasie, wynurzył się z ciemności, z mglistą świadomością czyjegoś dotyku, i z dźwięczącym mu w uszach głosem.

Był to kobiecy głos, przyciszony, pośpieszny i ochrypły z napięcia. Nie wiedział, co on mówi, słowa nie miały sensu…

Nagle serce Birrela załomotało. Niektóre z tych słów, z tych dziwnie brzmiących sylab, miały sens. Były to słowa, których uczył się w czasie tygodni przygotowań — słowa, które Grossman, filolog, wbił mu do głowy poprzez niekończące się powtórzenia.

Słowa — język — tych tajemniczych ludzi ze Skądinąd.

Otworzył oczy. Patrzył prosto w ciemną, atrakcyjną twarz młodej kobiety. Jej oczy błyszczały z podniecenia, a dłonie szarpały Birrela za ramiona. Znowu przemówiła do niego pośpiesznie, i teraz jego oczyszczający się umysł był w stanie przetłumaczyć słyszane słowa.

— Rett, mamy niewiele czasu! Proszę!

„Rett”? To było słowo, którego nie znał. Ależ oczywiście – tak się nazywał. A raczej było to imię człowieka, pod którego się podszywał. Rett…

Birrel był zbyt otumaniony, żeby odpowiedzieć jej w tym obcym języku. Był oszołomiony, wytrącony z równowagi i nie śmiał się pomylić.

Pomogła mu wstać. Nogi miał jak z gumy. Czuł się, jakby walnął go w głowę kafar. Co się stało?

Czepiając się skraju pryczy, żeby się podeprzeć, Birrel wpatrywał się z otępieniem. Zobaczył teraz, że dziewczyna ma na sobie zwykłe, jasnobrązowe ubranie, bez żadnego nakrycia na czarnych, długich do ramion włosach. Stalowe drzwi za jej plecami były teraz szeroko otwarte. Jak zostały otworzone? I co go uderzyło, pozbawiając świadomości? W świetle nagle pojawiło się coś zielonego...

Światło wciąż było zielone, miało złowrogi szmaragdowy odcień. Nie rozumiał co się stało. Powiódł po sobie wzrokiem i stwierdził, że na jego szyi wisi teraz jakiś łańcuch, do którego doczepione było dziwne jajo ze srebrzystego metalu. Jajo brzęczało.

Birrel wyciągnął odrętwiałe palce w jego stronę, ale dziewczyna złapała go za rękę. Znowu powiedziała szybko w tym obcym języku:

— Nie, Rett, nie dotykaj swojej osłony! Musimy szybko się stąd wydostać — Holmer nie może odcinać tego budynku przez wieczność. Proszę cię, spróbuj iść!

Jego osłona? Osłona przed czym? Zobaczył teraz, że ona też nosi na szyi brzęczące metalowe jajo.

Myśli Birrela zaczynały się przejaśniać. Ale celowo na twarzy zachował wyraz dezorientacji. Udawanie oszołomienia mogło dać mu trochę więcej czasu.

— Holmer? — powiedział.

— Jest na zewnątrz — powiedziała dziewczyna. — Utrzymuje — (tu użyła słowa, którego Birrel nie znał) — na całym budynku. Ale musimy się pośpieszyć!

Birrel zaczął rozumieć. Rzeczywiście przybyli, ci tajemniczy ludzie spoza planety. Jeden z nich, ten na zewnątrz, z oszałamiającą siłą uderzył w całe więzienie, jakąś super-encefalograficzną wibracją. To powaliło Birrela na ziemię. Ale zielonkawy blask w świetle wciąż był widoczny, siła wciąż działała. Jak to możliwe, że teraz odzyskał przytomność?

Czy „osłona" była tarczą przeciwko tej paraliżującej sile? Dziewczyna założyła mu ją, a on się ocknął. I ona sama też ją nosiła…

Nagle Birrela ogarnęła, pełna, przytłaczająca świadomość, że stoi twarzą w twarz z kimś spoza Ziemi. Wpatrywał się w jej ciemną, gładką twarz, w jej szerokie, zmartwione czarne oczy i czuł, jak jeżą mu się krótkie włoski na szyi.

Wydawała się całkowicie ludzka i ziemska, a przecież było inaczej. Jej oczy spoglądały na nieodgadnione pejzaże kosmicznych bezmiarów. Silne ręce, które go podtrzymywały, były rękoma obcej istoty.

Kobieta nie z tego świata....

Zadrżał mimowolnie i dziewczyna źle to zrozumiała. Powiedziała pośpiesznie:

— Wiem, że jesteś wstrząśnięty, ale musisz iść! Musimy się stąd wydostać… chodź…

Pociągnęła go w stronę otwartych drzwi celi. Birrel potykając się wyszedł przez nie razem z nią. Gdy szedł korytarzem i wchodził po

schodach, jego stopy nie chciały współdziałać z resztą ciała, szurały i potykały się.

U szczytu schodów znajdowało się biuro strażników. W środku bezwładnie leżało dwóch więziennych strażników w mundurach, jeden na krześle, drugi na podłodze. Nie byli martwi, ponieważ widział jak ich piersi unoszą się i opadają. Ale ogarnęła ich nieświadomość, głęboka jak śmierć.

Birrel zaczął to rozumieć. „Holmer nie da rady utrzymać budynku pod kontrolą dłużej niż tylko przez chwilę!” Ten na zewnątrz, wspólnik dziewczyny, wtrącił w śpiączkę wszystkich obecnych we więzieniu. Ona zaś, chroniona przez generator osłony, weszła do środka, niezagrożona.

Ta myśl przeraziła Birrela. Connor, Paley oraz ich ludzie, byli przecież także w tym budynku, czekając żeby ruszyć za Birrelem i kimkolwiek, kto się z nim skontaktuje. A więc, Connor, Paley i inni muszą teraz być tak samo nieprzytomni jak ci strażnicy. Cały ich plan legł w gruzach.

— Pospiesz się, Rett! — Niemal z zaciekłością popychała go w stronę wyjścia z biura, do głównego holu.

Dotarli do zakratowanych drzwi, które teraz otwarte były na oścież. Jak otworzyła drzwi, zastanawiał się Birrel? Ale wiedza naukowa, która potrafiła spuścić ten podobny do śmierci trans na pełen ludzi budynek, z pewnością szybko poradziła sobie również z zamkami.

Dziewczyna przyspieszyła kroku, ponaglając i jego go do szybszego poruszania się. Po chwili wyszli w ciemności letniej nocy, na parking z pół tuzinem służbowych samochodów. Wysoka brama na ulicę była zamknięta. Tuż pod nią, w środku, stał długi sedan, którego silnik cicho mruczał. Podbiegła do niego, ciągle zaciskając silne palce na nadgarstku Birrela.

Kiedy otwierała tylne drzwi sedana, w świetle wiszącej na dachu lampy, pojawiła się postać siedzącego za kierownicą człowieka.

Był starszy od dziewczyny, ciemny jak ona, ale miał kanciastą, pomarszczoną twarz i oczy, które mogłyby być wesołe, gdyby nie były tak czujne i zaniepokojone. On też nosił na szyi srebrne jajo, które brzęczało.

— Kara, za długo to trwało! — powiedział. — W każdej chwili…

— Znalezienie go zajęło mi trochę czasu — wyjaśniła. — Otworzę bramę. Nie, Rett, ty szybko wsiadaj do środka!

Gdy Birrel gramolił się chwiejnie na tylne siedzenie, dziewczyna – a więc miała na imię Kara? – pobiegła i otworzyła bramę, po czym popędziła z powrotem do samochodu.

Umysł Birrela przejaśniał się coraz bardziej, ale wszystko działo się zbyt szybko. Usłyszał ciągły, cienki, jękliwy dźwięk dochodzący z przedniego fotela. Pochodził on z kwadratowego czarnego pudełka, które spoczywało na siedzeniu obok kierowcy.

Dziewczyna, Kara, wskoczyła z tyłu koło Birrela i powiedziała:

— Wyłącz to już, Holmer — i jedź!

Mężczyzna za kierownicą wyciągnął rękę i dotknął pudełka, a jęki ucichły. Potem natychmiast włączył reflektory i ruszył samochodem przez otwartą bramę, na ulicę.

W ciągu dwóch minut znaleźli się w błyszczącym nurcie nocnego ruchu na Czwartej Alei, kierując się na północ.

Dopiero wtedy dziewczyna zwróciła się do Birrela. Powiedziała prawie namiętnie:

— Rett, gdzie ty byłeś? Przez te wszystkie tygodnie Holmer i ja prawie odchodziliśmy od zmysłów…

Birrel miał na to odpowiedź, przygotowaną z góry.

— Złapali mnie. Przesłuchiwali raz za razem. W końcu, kiedy nie mogli nic ze mnie wyciągnąć, zamierzali postawić mnie przed sądem.

Kara pośpiesznie skinęła głową.

— Domyśliliśmy się tego, kiedy wreszcie zobaczyliśmy w gazecie wzmiankę o przetrzymywaniu niezidentyfikowanego szpiega. Nie podejrzewali, kim naprawdę jesteś?

Na to też miał gotową odpowiedź.

— Nie. Nadal nawet im się nie śniło o czymś takim. Myśleli, że pochodzę z innego kraju.

— Ale Irrianin? — naciskała Kara. — Co się z nim stało?

Zaskoczyło to Birrela. „Irrianin?" To nic dla niego nie znaczyło. Kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

Stwierdził, improwizując:

— Co masz na myśli...

— Ten człowiek Vannevana — przerwała mu niecierpliwie, — Irrianin, którego tropiłeś. Rett, postaraj się myśleć trochę jaśniej. Czy Ziemianie złapali też Irrianina?

Dla Birrela nie miało to żadnego sensu. Zdołał jedynie zrozumieć, że martwy szpieg, Rett, zabity w pobliżu tego składu atomowego, kogoś śledził. Ten ktoś nazywał się „Irrianin" i był „człowiekiem Vannevana". Kim u licha był Vannevan?

Musiał zaryzykować. Powiedział powoli:

— Byłem jedynym, którego schwytali.

Powtórzyła ponownie:

— Ale co z Irrianinem? Musiałeś go zastrzelić z blastera?

Birrel, którego myśli pędziły jak uwięzione zwierzę szukające ucieczki, nagle coś sobie przypomniał. Przypomniało mu to słowo „blaster". To było coś, co zdziwiło agentów Connora, wypalone wyżłobienie w ziemi, które znaleźli w pobliżu martwego szpiega. Znowu musiał zaryzykować. Świadom, że to jest kompletne zagranie w ciemno, powiedział:

— Tak. Musiałem go zastrzelić.

Jej małe, silne dłonie zacisnęły się razem.

— Gdyby tylko udało ci się go złapać, tak jak planowałeś. Gdybyśmy mogli go zabrać z powrotem, byłby to absolutny dowód na to, co robi tutaj Vannevan.

Birrel nie mógł tego w ogóle ogarnąć. Był zdezorientowany, wszystkie jego wcześniejsze założenia, tak samo jak i założenia Connora, całkowicie spaliły na panewce. Myśleli już, że to rozgryźli. Martwy człowiek był szpiegiem z innego świata. Powinien mieć kolegów, grupę, która przybyła tutaj, by pozyskać najważniejsze tajemnice obronne Ziemi, z pewnością w

jakimś śmiertelnie niebezpiecznym celu. Zadaniem Birrela, pod przykrywką, było wyśledzenie tych innych.

Ale… teraz wydawało się, że ci szpiedzy, Kara i Holmer, sami mieli jakichś wrogów. Martwy człowiek, Rett, śledził jednego z nich. Irrianina. Kim byli Irrianie? Kim był Vannevan i co on kombinował?

Birrela nagle ogarnęło poczucie jakiegoś nierealnego koszmaru. Ich samochód przejeżdżał przez Times Square. Blask świateł, tłumy po imprezach, mrugające neony – wszystko to było tak zupełnie normalne. A tutaj, pośród tego morza normalności, jechał z mężczyzną i kobietą z dalekiej planety, mówiąc z nimi w ich języku, prowadząc z najwyższym napięciem rozmowę o rzeczach, których nawet nie rozumiał.

Birrel poczuł szalone pragnienie, aby wyrwać drzwiczki, wyskoczyć z samochodu, uciec i zgubić się w wesołym tłumie.

Nie mógł. Podjął się tego zadania i musiał przez to przejść – żeby dowiedzieć się, gdzie jest ich baza, jakie zagrożenie stanowili.

„Ale muszę to rozgrywać sam" — pomyślał upadając na duchu.

Connor, Paley i reszta, mimo że tak starannie planowali jak podążyć za nimi, kompletnie nie przewidzieli użycia tej paraliżującej siły, która w nich uderzyła.

Birrel zdał sobie sprawę, że przejechali przez miasto i pędzili teraz tunelem Lincolna. Po kilku minutach znaleźli się na głównej drodze, kierując się na północ.

Jak długo będzie w stanie utrzymywać to oszustwo? Ile minie czasu, zanim popełni jakiś błąd, jakąś pomyłkę…

Holmer, cichym głosem lecz z nagłą nutą napięcia, powiedział:

— Jakiś samochód jedzie za nami. Nie byłem tego pewien, dopóki nie przejechaliśmy tunelu.

W reakcji na te niespodziewane słowa, nadzieje Birrela wystrzeliły w górę. A więc Connor i pozostali pojawili się na czas, żeby pojechać za nimi? Jednak wydawało się to mało prawdopodobne...

— Vannewan! — krzyk Kary był tak ostry, że go przestraszył.

— To nie może być nikt inny — zgodził się z nią ponuro Holmer. — Ta gazeta o schwytanym szpiegu, jak się wydaje, również i jego przyciągnęła do więzienia.

Kimkolwiek był ten Vannevan, pomyślał Birrel, było oczywiste, że ta dwójka nienawidzi go i boi się jak diabła.

Holmer mocniej złapał za kierownicę i samochód nagle przyspieszył. Rzucił, nie odwracając się:

— Wiecie, co to znaczy. Irrianie wiedzą już, że wyruszyliśmy za nimi na Ziemię. Trzymajcie się, musimy ich zgubić!

W jednym rozbłysku, szokująca prawda stanęła nagle przed oczyma Birrela. Na niczego niepodejrzewającej Ziemi znajdowały się dwie grupy tajnych agentów, zaciekle wrogich sobie nawzajem, rozgrywających przeciwko sobie ogromną i śmiertelną w skutkach grę!

ROZDZIAŁ IV

Birrel czuł nieuchronność nadciągającego niebezpieczeństwa. Groźby nie tylko dla niego samego, ale dla całej planety. W nim leżała jedyna szansa, aby poznać to zagrożenie dla Ziemi, zanim ono się zmaterializuje.

Kim byli ich prześladowcy, kim mogą być Irrianie oraz Vannevan, i dlaczego przybyli na Ziemię, nie był w stanie nawet się domyślać. Ale co do Kary i Holmera, był pewien. Ich kolega, nieżyjący Rett, miał przy sobie zdjęcia najbardziej tajnego uzbrojenia i mechanizmów obronnych Ziemi. Dlatego stanowili oni niebezpieczeństwo — i nie wolno było mu ich zgubić.

— Skręć w następną boczną drogę! — powiedział do Holmera. — Przewieziemy ich po bocznych drogach.

Holmer skinął głową. Birrel obejrzał się do tyłu. Dwa reflektory kołysały się miarowo ćwierć mili za nimi.

— Są bliżej — zauważyła Kara.

Birrel popatrzył do przodu, dojrzał znak wskazujący na skrzyżowanie i powiedział:

— Skręć tam!

W następnej chwili myślał już, że wszyscy troje są załatwieni. Holmer skręcił w ciemną boczną drogę, w ogóle nie zwalniając, i sedan stanął na dwóch bocznych kołach, z przeraźliwie piszczącymi oponami, grożąc że wywróci się na dach.

Birrel, wbity w kąt tylnego siedzenia, poczuł, że Kara z całej siły wpada na niego. Trzymał ją jedną ręką i gorączkowo szukał czegoś, czego mógłby się uchwycić, kiedy wywrócą się do góry kołami.

Nie wywrócili się. W panicznej reakcji, Holmer zakręcił kierownicą dokładnie w odpowiedniej chwili. Limuzyna zachybotała się, po czym opadła z powrotem na wszystkie cztery koła, z wyłączonym silnikiem.

Po głównej drodze szybko przemknął samochód.

— Te przeklęte ziemskie pojazdy! — zaklął Holmer drżącym głosem. — Żadnych żyroskopowych układów sterujących, kompletny brak wbudowanych stabilizatorów!

Birrel czuł, że ma ochotę na niego wrzeszczeć: „Skąd, u diabła, ten idiotyczny pomysł, że możesz skręcić pod kątem prostym, przy pełnej szybkości?” Ale powstrzymał się. To by go zdradziło, ponieważ Rett nie mógł wiedzieć na temat samochodów o wiele więcej niż inni.

Ale choćby ze względu na przetrwanie, musiał odciągnąć Holmera od kierownicy.

Powiedział:

— Pozwól że ja poprowadzę – od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nauczyłem się dobrze sobie z nimi radzić.

Holmer wcisnął się na przednie siedzenie, trzymając na kolanach czarne pudełko. Birrel szybko się przesiadł i przejął kierownicę.

— Przejechali obok, ale teraz wracają! — zawołała Kara. — Słyszę...

Birrel zakręcił rozrusznikiem, a potem wcisnął pedał gazu i sedan pomknął ciemną asfaltową drogą jak wystraszony królik.

Kara patrzyła do tyłu, a jej głos dobiegał wyraźnie przez narastający ryk silnika.

— Są tam z tyłu. Zyskują nad nami…

Birrel zerknął w lusterko i zobaczył szybko zbliżające się z tyłu reflektory. Wcisnął mocniej pedał gazu, mknąc sedanem obok oświetlonych okien domów, czarnych mas drzew. Reflektory przestały się zbliżać.

Kara zawołała do Holmera:

— Użyj… — Znowu to słowo, którego Birrel nie znał.

Wiedział, co ono znaczy. Chodziło o kwadratowe pudełko na kolanach Holmera, coś, co przy pomocy potężnych wibracji pozbawiło przytomności wszystkich w więzieniu.

Holmer zaczął grzebać przy pudełku. Przez ryk silnika Birrel nie słyszał, kiedy się włączyło. Ale z nadzieją spojrzał w lusterko.

Reflektory pozostały na swoim miejscu.

— To nie ma sensu — powiedział Holmer. — Mają założone osłony. Musieli się zorientować, jak to zrobiliśmy w więzieniu.

Wyłączył urządzenie. Birrel uświadomił sobie z pewną desperacją, że teraz wszystko zależy od niego.

Pomyślał, że ma jedną przewagę. Skoro ścigający pochodzili z innej planety, nie byli w stanie prowadzić ziemskiego samochodu tak sprawnie, jak on.

Kara powiedziała:

— Mogliby nas załatwić za pomocą — (i tu kolejne całkowicie niezrozumiałe słowo) — ale nie odważą się tego tutaj użyć! Po czymś takim, wszyscy w tej części Ziemi dowiedzieliby, że tutaj są!

Birrel mógł się tylko domyślać, jakiej broni ścigający ich Irrianie, mogli użyć, ale nie odważyli się z niej skorzystać.

Lecz wyraźny strach w głosie Kary wystarczył, by wyczarować koszmarne wizje straszliwych środków i mocy, które mogły zostać na nich rzucone.

To pomogło Birrelowi podjąć decyzję. Lepiej zaryzykować rozbicie się niż pozwolić temu samochodowi aby się do nich przyczepił. Wykorzysta swoją jedyną przewagę.

— Trzymajcie się mocno — powiedział i skręcił ostro w następną poprzeczną drogę.

Birrel zaczął szaleńczo skręcać i kluczyć w labiryncie bocznych dróg. Zawsze był dobrym kierowcą. Tego wieczora, ponaglany przez uczucie desperacji, zapomniał o możliwych zagrożeniach na drodze.

Zapomniał o wszystkim poza wstęgą drogi przed jego reflektorami, ostrymi zakrętami, przez które prześlizgiwał się w wyścigowych manewrach, instynktownym wyczuwaniu następnego wzniesienia, spadku, skrzyżowania. Zrobiło się późno i na farmach było już ciemno, śpiący w domach ludzie nawet nie śnili o tym, co w wizgiem przemykało w nocy obok nich, tej ucieczce i pogoni ludzi z odległych planet.

Rytm rozpędzonego silnika huczał mu w głowie, a przepełniające go napięcie, rosło. Wokół niego nie było niczego poza reflektorami, drogą i strachem przed tym, co podążało ich śladem. Był mocno zaskoczony, gdy głos Kary przełamał to zaklęcie, odzywając się tuż koło jego ucha.

— Zgubiliśmy ich, już dawno temu! — mówiła. — Rett, zwolnij, zanim nas rozbijesz.

Birrel zdjął nogę z pedału gazu. Siedzący obok niego Holmer wyglądał na wystraszonego.

— Te prymitywne ziemskie samochody – już nigdy do żadnego nie wsiądę! — oznajmił z uczuciem.

Wjeżdżali na wzgórze, z zagajnikami po obu stronach drogi.

— Zatrzymaj się na tym wzniesieniu, to sprawdzimy — powiedziała Kara.

Zatrzymał się, wyłączając silnik i światła. Wysiedli i popatrzyli do tyłu. W łagodną letnią noc ciche odgłosy leśne, monotonna pieśń rechoczących żab, w jakiś sposób wstrząsnęły Birrelem swoją zwyczajnością. Niemożliwe, żeby to była tylko kolejna lipcowa noc w New Jersey, skoro obok niego stali mężczyzna i kobieta spoza Ziemi.

Popatrzył w letnie niebo przystrojone girlandami i rojami gwiazd. Z której plamki na niebie przybyło tych dwoje? Skąd przybyli ci inni, ci, którzy ich ścigali, Irrianie? „Niebo jest pełne planet” – stwierdził Connor. I niebo naprawdę było pełne tajemnic i zagrożeń....

— Tak — potwierdził Holmer. — Zgubiliśmy ich. Ale lepiej zabierajmy się stąd.

Wsiedli do samochodu i Birrel pojechał dalej. Holmer zaproponował:

— Wracajmy do domu. Musimy szybko zdecydować, co robić – teraz, kiedy Vannevan już wie, że my też jesteśmy na Ziemi. Możemy tutaj zostać i dalej ich obserwować. Albo możemy wracać do nas, z tym co już wiemy.

Z dziwnym, lodowatym uczuciem Birrel zdał sobie sprawę, że „do nas” oznacza planetę, z której przybyli, gdzieś w głębinach kosmosu. Gdzieś na tych ludzi czeka ukryty statek. Gdyby tylko udało mu się utrzymać swoją przykrywkę, dopóki nie dotrą do tego statku, a potem przekazać wiadomość Connorowi.

— Rett, źle pojechałeś, tamta druga droga jest do domu! — nagle odezwała się Kara.

Właśnie minęli skrzyżowanie. Birrel zatrzymał samochód i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie ma bladego pojęcia, gdzie jest „dom”. A przecież to było coś, co jako Rett ewidentnie powinien wiedzieć.

Powiedział:

— Przepraszam, minęło już tyle tygodni. Lepiej mów mi gdzie mam skręcić.

Ani Kara, ani Holmer wydawali się nie dziwić, że może nie pamiętać dokładnie. A kiedy jechał dalej, a dziewczyna ostrzegała go o każdym zakręcie na tych odludnych wiejskich drogach, Birrel zastanawiał się, jak długo zdoła utrzymać swoje niesamowite, bezczelne oszustwo. Miało ono przecież nie trwać zbyt długo, plan był taki, że Connor i jego agenci natychmiast podążą za nimi i będą trzymać się blisko nich, ale plan ten

upadł już bezpowrotnie i musiał sam brnąć dalej, zrobić wszystko co będzie można, dowiedzieć się wszystkiego co się da.

Jechał ciemną, wyboistą drogą między nieogrodzonymi polami, kiedy zdał sobie sprawę, że Holmer i dziewczyna spoglądają teraz baczniej do przodu. Birrel dostrzegł ciemny kształt nieoświetlonego farmerskiego domu.

Czy to był „dom"? Nie ośmielił się ich o to spytać – jako Rett mógł nie pamiętać trasy dojazdu w plątaninie dróg, ale z pewnością nie mógłby zapomnieć czegoś takiego. Ale nie mógł zjechać pod niego, jeśli to było złe miejsce.

Birrel wymyślił podstęp. Kiedy będą zbliżać się do ciemnego domu, zwolni, jakby chciał pod niego zjechać. Jeśli będą protestować, zawsze mógł wyjaśnić, że chciał tylko znowu się zatrzymać i posłuchać.

Jednak nie protestowali, więc to musi być właściwe miejsce. Birrel skręcił w prawo na wyboisty podjazd, a reflektory oświetliły stary krzak bzu przed zrujnowaną stodołą.

— Wyłącz światła — powiedział z niepokojem Holmer. Birrel zrobił to, ręka lekko mu drżała. Nie mógł tak grać w nieskończoność, nie popełniając w końcu pomyłki.

Weszli do ciemnego domu, Kara najpierw przeszła przez pokoje i pozaciągała rolety, a potem ostrożnie zapaliła lampę naftową. Birrel pomyślał, że rzeczywiście wybrali kryjówkę położoną daleko od głównych dróg, skoro nie mieli prądu.

Całe to miejsce było zimne, zatęchłe, z poniszczonymi starymi meblami, które wyglądały, jakby stały tu od bardzo dawna. Nie było żadnych śladów, ilu ludzi tutaj mieszkało, i nie było śladów na to, że mieszkańcy byli przybyszami z odległej planety. To był tylko stary dom na wsi, cichy i samotny.

Birrel usiadł z zadowoleniem, ponieważ jego uczucie desperacji narastało. Jak dotąd niewiele się dowiedział. Ten dom był oczywiście tylko tymczasową siedzibą przybyszy. Prawdziwa baza tych ludzi była gdzie indziej – ale gdzie? Właśnie tego musiał się dowiedzieć dla Connora.

Zaryzykował raz jeszcze. Spytał:

— Czy nikt z pozostałych nie był tu z wami?

Inni. Ci, którzy przybyli z nimi na Ziemię, którzy musieli przylecieć z Karą, Holmerem i Rettem na Ziemię, i których trzeba było odnaleźć!

Holmer, kładąc na podłodze swoje kwadratowe czarne pudełko, odparł z niepokojem:

— Thile wpadł do nas w zeszłym tygodniu. Bał się, że statek zostanie wykryty, i ciągle namawiał nas do odlotu. Powiedziałem mu, że nie możemy lecieć bez ciebie.

Kara podeszła i usiadła przed Birrelem. Spytała go:

— Wiem, że wiele przeszłaś, Rett. Ale musimy szybko podjąć decyzję. Czy masz wystarczające dowody tego, co Vannevan robi na Ziemi, żeby zabrać je do naszych?

I to było to, pomyślał Birrel. Udało mu się przetrwać w pośpiechu ich ucieczki, ale nie był w stanie powtórzyć tego podczas narady, która musiała zdradzić jego ignorancję.

Holmer stwierdził z niepokojem:

— Ja mówię, lećmy! Teraz, gdy Irrianie wiedzą, że Ruun maczało w tym palce, że polecieliśmy za nimi na Ziemię, nie spoczną, dopóki nie znajdą nas i statku. Wiecie przecież, jaki jest Vannevan! Mówię wam, lećmy z tym, czego się dowiedzieliśmy – natychmiast.

— Wszystko zależy — wtrąciła szybko dziewczyna — od tego, czego dowiedział się Rett. Rett…

Nie udało jej się skończyć. W tej samej chwili, zupełnie bez ostrzeżenia, Birrela uderzyło coś na podobieństwo ogromnej dłoni i w idealnej ciszy powaliło go na podłogę.

Nie stracił przytomności. Widział, jak inni też upadają, dotknięci tą samą cichą siłą. Tyle że dostrzegał z ich przerażonych oczu, iż oni wiedzieli, co to za siła, a on nie. Z rozpaczliwym wysiłkiem próbował się poruszyć, ale każdy nerw jego ciała był sparaliżowany i mógł tylko leżeć i patrzeć.

Drzwi pokoju otworzyły się. Weszli dwaj ludzie, szybko się poruszający, ciemni, zwykli mężczyźni w zwykłych ubraniach. Każdy trzymał w dłoni gruby, żłobkowany metalowy cylinder. Te cylindry muszą generować paraliżującą moc, która działała skutecznie nawet spoza domu, pomyślał Birrel.

Za nimi wszedł trzeci człowiek.

Nie był wyższy od pozostałych, lecz miał szersze ramiona i był potężnym, lekko poruszającym się mężczyzną. Miał twarz człowieka urodzonego by dowodzić, oddanego temu, żyjącego dla tego i dzięki temu – człowieka, dla którego życie bez osobistej i bezpośredniej władzy nad wszystkim wokół niego, byłoby nie do zniesienia. W chwili obecnej miał to wszystko i był zadowolony.

Holmer odezwał się, ale jego sztywne wargi były w stanie tylko wyszeptać.

— Irrianie… Vannevan!

ROZDZIAŁ V

W salonie starego wiejskiego domu w New Jersey znajdowało się sześć osób i tylko jedna z nich była Ziemianinem.

Birrelowi wydawało się to absurdalną niemożliwością. Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy, do północy ósmego lipca pozostało dwadzieścia pięć minut, i to wszystko nie mogło się dziać, ale jednak się działo.

— Łatwo mi z wami poszło — mówił Vannevan. — Myśleliście, że chciałem was wyprzedzić, tam na drodze? Chciałem tylko znaleźć się wystarczająco blisko, żeby wystrzelić znacznik w tył waszego pojazdu, a potem pojechać za wami.

Widać było, że Vannevan pławi się w zadowoleniu. Przechytrzył i pokonał swoich wrogów, a to sprawiało mu większą przyjemność niż samo ich pojmanie.

Chodził tam i z powrotem po starym, wyblakłym dywanie, ale uważał, żeby nie stanąć bezpośrednio przed Birrelem, Karą i Holmerem.

Cała trójka siedziała na krzesłach, a po drugiej stronie pokoju stali dwaj ludzie Vannevana. Każdy z nich trzymał w dłoni karbowany metalowy cylinder, wycelowany w stronę trojga więźniów, przypominając im, jak szybko mogą zostać ponownie sparaliżowani lub zabici.

Niespójność tej sytuacji wywoływała w Birrelu szaloną ochotę do wybuchnięcia śmiechem. Zatęchły stary dom, zadymiona lampa naftowa, tykający zegar z kukułką na ścianie – i pięciu obcych, z gwiazd.

Zastanawiał się, co to jest „znacznik”. Przypuszczał, że to jakiś malutki gadżet, który można wystrzelić, aby przyczepił się do jadącego samochodu i nadawał sygnał, dający się odczytać i śledzić. Wątpił, czy pożyje wystarczająco długo, by dowiedzieć się, czy to prawda.

Vannevan spytał Birrela:

— Zabiłeś Julla, prawda?

Na jego twardej twarzy nie było już śladu rozbawienia. Wyglądała jak wykuta z zimnego żelaza i Birrel miał wrażenie, że Vannevan jest tak twardy, jak mu się to wcześniej wydawało.

— Kto to — odpowiedział pytaniem Birrel — jest Jull?

— Człowiek z Ir — odparł Vannevan. — Mój człowiek. Człowiek, którego śledziłeś i zabiłeś. Znaleźliśmy ślad po blasterze na ziemi.

Birrel zaczął trochę rozumieć. Wzruszył ramionami.

— Jeśli wiesz, to po co mnie pytasz?

Vannevan podszedł bliżej, a jego oczy nabrały żółtego blasku gdzieś w swych ciemnych głębinach.

— Nie sądzę byś go tak po prostu zastrzelił. Najpierw go oszołomiłeś i przeszukałeś. Tak samo jak my zrobimy to z tobą. Gdzie jest – (użył innego nieznanego słowa) – który znalazłeś przy nim?

Birrel odparł:

— Nic nie znalazłem. Po prostu go zastrzeliłem.

Coś eksplodowało mu prosto w twarz. Zatoczył się na krześle, na ślepo unosząc ręce, na wpół oszołomiony. Potem zobaczył, jak zaciśnięta dłoń Vannevana cofa się. Vannevan, trzymając się ostrożnie z boku, ponownie machnął pięścią w twarz Birrela.

— Kłamiesz — stwierdził. — Nie przebylibyście całej tej drogi z Ruun, szpiegując nas, i nie tropiłbyś Julla cały ten czas, a potem po prostu go zastrzelił. Przekazałeś go Holmerowi, zanim złapali cię Ziemianie?

Birrel poczuł spływającą mu po twarzy krew i wezbrała w nim nienawiść oraz wściekłość, jakich nigdy by się nie spodziewał, że może doświadczyć. Zaczął się podnosić, ale Irrianie stojący po drugiej stronie

pokoju wycelowali w niego swoje cylindry. Nie chciał umierać wcześniej, niż musiał. Usiadł więc z powrotem.

— Ludzie z Ruun są odważni — kpiąco oznajmił Vannevan. — A teraz powiesz mi…

Nagle urwał. Na jego twarzy pojawił się wyraz zainteresowania i zdumienia. Wyciągnął rękę w kierunku oczu Birrela.

Birrel cofnął się, ale ręka Vannevana przesunęła się po jego czole, po brwiach. Wtedy Vannevan wydał niedowierzający okrzyk.

— On wcale nie jest z Ruun. To Ziemianin!

Birrel uświadomił sobie, co się stało. Uderzenie, a potem strumyczek krwi spływający mu po twarzy, skutecznie zrujnowały staranną pracę ekspertów od charakteryzacji Connora.

Zanim zdążył stawić opór, Vannevan otarł mu twarz chusteczką. Birrel, trochę oszołomiony i na wpół oślepiony krwią w oczach, szarpnął się szaleńczo, ale w nic nie trafił.

Dobiegł go głos Kary.

— Rett, nie możesz przecież być… — Jej głos ucichł, a potem dokończyła innym tonem. — Ale ty nie jesteś Rett. On ma rację, jesteś Ziemianinem. Gdzie jest Rett?

Birrel otworzył oczy i dopiero w tej chwili zobaczył twarz jej i Holmera, oraz biel na obu z nich, wywołaną przez wstrząs i zaskoczenie.

Poczuł dziwne poczucie winy. Nie było ku temu żadnego powodu, przecież to oni byli szpiegami, a on kontrwywiadowcą broniącym swojego kraju, broniącym Ziemi, a jednak nie potrafił pozbyć się tego uczucia.

— Tak — zawtórował jej gwałtownie Vannevan — gdzie jest Rett? Gdzie jest człowiek, którego udawałeś?

Birrel popatrzył tylko na niego i nic nie powiedział.

Jeden z Irrian stanął koło Vannevana i szepnął mu coś tak szybko, że Birrel nie mógł za nim nadążyć.

Vannevan kontynuował ponuro:

— Twoi ludzie – ludzie z Ziemi – dopadli Retta, prawda? Zabili go, prawda?

To było tak oczywiste, że nie było sensu temu zaprzeczać.

— Tak — powiedział Birrel.

— I ucharakteryzowali cię na Retta oraz opublikowali raport o schwytanym szpiegu, żeby przyciągnąć pozostałych — dodał Vannevan. — Oczywiście. Co oznacza, iż wiedzą, że na ich planecie są obcy.

Holmer wtrącił z drwiną w głosie:

— Nie pasuje ci to, co, Vannevan? To psuje plany Ir, prawda?

Vannevan popatrzył na niego.

— Nie. W planach Ir nie spowoduje to żadnych zgrzytów. A kiedy dostaniemy to, czego potrzebujemy od Ziemi, nasze plany dotyczące waszej planety pójdą ostro naprzód. Bądź tego pewien.

Umysł Birrela na próżno próbował wycisnąć coś ze wskazówek dostarczanych mu przez tę dodatkową rozgrywkę. Czyżby nie chodziło

tutaj tylko o wrogość osobistą, albo przepychanki frakcyjne? Planeta Ir i planeta Ruun — gdziekolwiek leżały te odległe planety — były wrogami? A więc Irrianie potajemnie przybyli na Ziemię po coś, czego potrzebowali do podboju?

To wszystko nie miało sensu! Ci obcy z gwiazd używali o wiele bardziej wyrafinowanej i skomplikowanej broni, niż jakakolwiek broń na Ziemi. Dlaczego mieliby kraść uzbrojenie ze słabiej zaawansowanej naukowo planety?

— Ty, możesz poczekać — powiedział Vannevan do Birrela z pewną dozą pogardy. Odwrócił się i popatrzył na Holmera i Karę. — Ale wy dwoje jesteście ważni. Żadne wieści o naszych planach nie mogą powrócić na Ruun! Gdzie jest wasz statek?

— A gdzie jest statek z Ir? — skontrował Holmer.

Vannevan uśmiechnął się ponuro.

— Tam gdzie nigdy byście go nie znaleźli. A całkiem długo próbowaliście, prawda? Na tej planecie jest wiele dzikich zakątków. W którym ukryliście swój statek?

Holmer tylko się roześmiał.

— Jedno z was, mi powie — obiecał Vannevan. Powiedział do stojącego obok niego Irrianina. — Najpierw mężczyzna. Zabierz go na górę. Będzie mówił swobodniej i chętniej, kiedy nikt z nich nie będzie go słyszał.

Jego podwładny wycelował broń w Holmera. Holmer, nie patrząc na Karę ani Birrela, ruszył starymi schodami w holu, a Irrianin tuż za nim.

Vannevan podążył na końcu.

Birrel popatrzył na Karę. Jej twarz zmieniła się w kamienną maskę. Spojrzał na Irrianina po drugiej stronie pokoju. W żółtym świetle lampy, twarz mężczyzny wyglądała zupełnie nie na miejscu. Nie na miejscu, ponieważ była to zwykła ciemna, przeciętna twarz. Nie powinna należeć do wroga z gwiazd. Ale cylinder w jego dłoni wycelowany był bez wahania w Birrela i dziewczynę.

Zakurzony zegar z kukułką wskazywał północ. Dziwne, że działa, pomyślał Birrel. Któreś z nich – Kara lub Holmer – musiało uruchomić go z ciekawości.

Wiedział, że te myśli chodzą mu po głowie tylko dlatego, by zająć czymś umysł, aby nie rozpadł się on od obłędnej nierealności sytuacji.

Birrel nagle poczuł pot na czole. Z góry dochodziły jakieś dźwięki, niezbyt głośne, coś jakby stukanie, sapanie. Rozległ się głos, a potem kolejne odgłosy sapania.

Kara zaczęła wstawać, ale człowiek z karbowanym metalowym cylindrem powiedział jej:

— Siedź.

Birrel popatrzył na zegar. Dwie minuty do północy. Zegar z kukułką i szpiedzy z gwiazd. Nierealne. Ale w jego umyśle zaczęła kiełkować szalona myśl...

Po schodach spłynął wrzask, urwany, zdławiony, śmiertelny krzyk. A potem rozległ się głos Vannevana, głośny i naładowany złością.

— Niech go szlag, nie żyje.

— Siedź — powtórzył uzbrojony Irrian.

Zostało pół minuty do północy. Musi tego spróbować, nie będzie kolejnej szansy, nie po tym, kiedy Vannevan zejdzie po tych schodach po następne z nich, najpierw po Karę, a potem po Birrela…

Zegar z kukułką oznajmił:

— Kuku.

Na ten ostry odgłos, na lekkie drgnienie ruchu wyskakującego ptaka, Irrianin z bronią uniósł do góry wzrok, zaskoczony.

Birrel domyślał się, że tak się stanie. Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby pośród gwiazd istniały zegary z kukułką. Czekał na tę chwilę i kiedy Irrianin odwrócił głowę, poderwał się.

Nie próbował dotrzeć do samego Irrianina. Tamten był za daleko. Podbiegł do stołu z lampą naftową, który stał w pobliżu. Zahaczył palcami o krawędź stołu i pchnął go tak mocno, jak tylko mógł, przewracając go. Lampa poleciała w powietrze. Uderzyła o podłogę, rozpryskując gorący olej i ogień, a Irrianin krzyknął. Dywan wokół jego stóp nagle zaczął płonąć, a małe płomyki wyrastały jakby w magiczny sposób w miejscach, gdzie olej spryskał mu ubranie. Birrel nie musiał się nim zajmować. Irrianin uciekł z krzykiem na korytarz, zerwał z siebie płaszcz i w panice bił się po nogach.

Pokój był teraz pogrążony w ciemności, z wyjątkiem plam ognia, które rozpływały się po podłodze, śmigały w górę po zasłonach okiennych oraz pędziły nieregularnymi smugami po tapetach. Birrel chwycił Karę za rękę i rzucił się do zewnętrznych drzwi.

— Holmer! — krzyknęła gorączkowo, cofając się.

— On nie żyje, słyszałaś przecież… chodź! — Pociągnął ją z szorstką determinacją.

Wyskoczyli w ciemność, po zapadniętej podłodze ganku. Pokierował ich nie w stronę samochodu, lecz ku rosnącym za domem krzakom, czarnym zaroślom, które obiecywały ochronę.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył migotliwą, czerwoną poświatę szybko rozprzestrzeniającą się w brudnych oknach. Krzyki Irrian zmieniły się w coś w rodzaju wycia i Birrel słyszał przebijający przez nie wściekły głos Vannevana.

Trzymał mocno Karę za nadgarstek i po kilku chwilach znaleźli się w zaroślach, lawirując biegiem wśród drzewek i krzewów. Wtedy Birrel zatrzymał się.

Za nimi, z domu wyłoniły się trzy ciemne postacie. Dwie z nich były złączone ze sobą, jakby jedna na wpół niosła drugą. Trzecia była sama i znajdowała się na czele. Stały na tle świecących okien, rozglądając się we wszystkie strony.

Birrel szepnął do Kary:

— Cicho. Jeśli spróbujemy ruszyć dalej, usłyszą nas.

— Będą nas szukać, dopóki nie znajdą — odszepnęła.

Pokręcił głową.

— Ten dom całkiem nieźle się rozpalił. Nie sądzę, żeby mogli tutaj zbyt długo zostać.

Poczuł jej gest zaprzeczenia.

— Nie rozumiem.

— Mamy na Ziemi coś, co się nazywa strażą pożarną. Na wsi prawie każdy mężczyzna jest członkiem straży. Już niedługo to miejsce zaroi się od ciężarówek i strażaków ochotników. Stój i czekaj.

Czekali.

Vannevan i jego ludzie naradzali się przez chwilę. W końcu zostawili rannego, który jęczał i czołgał się w trawie, i we dwójkę zaczęli chodzić po zaroślach, krążąc wokół domu.

Wielki język ognia wystrzelił przez jakiś szyb wentylacyjny w domu i wspaniale rozjarzył się się ponad dachem.

Vannevan i jego człowiek zniknęli do tej pory w zaroślach. Birrel trzymał Karę za rękę, pocił się i modlił o jeden dźwięk.

W końcu nadleciał. Ochrypłe, szorstkie wycie wiejskiej syreny, mającej obudzić każdego śpiącego strażaka ochotnika w okolicy.

Unosiło się i opadało w nocnym powietrzu, złowieszcze i głośne. Vannevan i jego człowiek pospiesznie pojawili się ponownie w migotliwym czerwonym świetle. Podnieśli rannego mężczyznę i zabrali go, kuśtykającego, między sobą. Ruszyli ciemną drogą. W pewnej chwili Birrel usłyszał w oddali odjeżdżający samochód.

Kiedy już nie mógł go dosłyszeć, powiedział:

— No dobrze, chodźmy.

I zabrał Karę przez ciemne, przetykane zaroślami pola, biegnąc, potykając się, w kierunku przyszłości, której niesamowite zarysy zaczynał niejasno i wbrew swojej woli dostrzegać.

ROZDZIAŁ VI

Siedzieli razem w zarośniętym zagłębieniu nad strumieniem. W podmokłych miejscach rechotały żaby. W górze, nad ciemnymi drzewami, przemieszczały się gwiazdy. Dookoła, w mrokach ciepłej nocy, sowy śpiewały swym ukochanym dziwne, rozhukane piosenki i cykały świerszcze.

Birrel i Kara rozmawiali o rzeczach tak dziwnych i odległych, że w tej swojskiej scenerii byli wyjątkowo nie do uwierzenia.

Birrel nalegał z uporem.

— Muszę cię zabrać do Connora. — Wyjaśnił jej, kim jest Connor. — On przeanalizuje fakty i zdecyduje, co zrobić. W końcu musisz pamiętać, że Ziemia to nasza planeta. Jest dla nas ważniejsza niż jakakolwiek inna.

Kara też się upierała przy swoim.

— Zagrożenie nie jest skierowane przeciwko twojej Ziemi! Jego celem jest Ruun, moja planeta. Mówiłam ci…

— Ale wasz człowiek, Rett, ten prawdziwy Rett… miał przy sobie, zarejestrowane przy pomocy promieni sondujących, nasze najtajniejsze instalacje atomowe.

— Oczywiście, że miał — powiedziała ze złością. Birrel zrozumiał, że lubiła Retta, nie w kategoriach romantycznych, ale jako dobrego towarzysza broni. Wiadomość o jego śmierci zniosła raczej ciężko. — Jak myślisz, po co on w ogóle tam był? Zabrał ten zapis Irrianinowi. Miał to być dowód na działalność Irrian, którego potrzebowaliśmy do przekonania naszego rządu, do działania zanim będzie za późno. Gdyby twoi koledzy go nie zastrzelili, do tej pory wszystko byłoby już załatwione. W obecnej sytuacji jest gorzej niż przedtem.

— Posłuchaj — westchnął Birrel. — Chciałbym ci uwierzyć, Kara. A nawet ci wierzę. Ale jak dla mnie, to naprawdę zbyt wielka odpowiedzialność. Connor…

— Connor! — prychnęła z pogardą. — Po prostu się boisz.

— Tak — przyznał. — Byłbym głupi, gdyby było inaczej.

Chwyciła się dłońmi za głowę i oznajmiła bardzo cierpliwym głosem:

— Próbuję pamiętać o twoim punkcie widzenia. Ale wysłuchaj mnie jeszcze raz. Jest pewna gwiazda – wy nazywacie ją Wolf 359. Ma kilka planet, z których pięć jest zamieszkanych. My, mieszkańcy Ruun...

— Kontrolujecie cztery z pięciu planet — przerwał jej Birrel, nie bez cienia sceptycyzmu wobec historii, którą już od niej słyszał.

— Pokojowo — wyjaśniła. — Pozostałe trzy planety sprzymierzyły się z nami dobrowolnie. Są zupełnie autonomiczne. Ale są gorzej położone niż Ruun i nie mogą utrzymać wielkich populacji, są więc stosunkowo słabe. I ich mieszkańcy chcieli silnego przyjaciela, a nie silnego pana… jak Ir. Czy podobałoby ci się życie pod przywództwem Vannevana?

Musiał przyznać, że nie.

— Ale czy wszyscy Irrianie są tacy jak on?

— Oczywiście, że nie — odparła Kara. — Tylko że Ir, piąta planeta, jest rządzona przez oligarchów, a Vannevan jest jednym z nich. Mieszkańcom Ir może się to nie podobać – prawdę mówiąc, dochodzą do nas wieści, że niektórym z nich naprawdę się nie podoba – ale są trzymani dosyć krótko.

Mimo tego, jednak, pomyślał sobie Birrel, obie strony tej międzygwiezdnej awantury były mu obce. Zresztą decyzja nie należała do niego.

Tak też jej odpowiedział, a ona stwierdziła:

— Ale to ty musisz ją podjąć. Nikt inny tego nie zrobi. Nie ma na to czasu.

Desperacko napierała dalej, starając się, by zrozumiał.

— Przez wieki walczyliśmy z irriańskimi oligarchami, aby powstrzymać ich przed zdominowaniem całego układu. Jedynym okresem pokoju, był czas, gdy oligarchowie zaczęli walczyć między sobą o władzę w swoim kraju. Wskutek tej wojny, wiele lat temu, w końcu wyczerpali każdą cząsteczkę materiałów rozszczepialnych na Ir. Udało nam się uniemożliwić im pozyskanie nowych zasobów z naszych sfederowanych planet, i tak

przez długi czas panował pokój. Rozumiesz? Mieliśmy broń atomową, a oni nie. Nie stanowili już zagrożenia. I oczywiście nie potrzebowaliśmy już tak potężnych sił zbrojnych. Przez dziesięciolecia mieliśmy tylko tylu żołnierzy, ilu było potrzebnych jako policja międzyplanetarna. A teraz…

— A teraz Irrianie spłatali wam psikusa – podsumował Birrel. Kara wyjaśniła znaczenie tego zapisu promieni sondujących i musiał przyznać, że wydawało się ono mieć sens. — Postanowili ukraść materiały rozszczepialne z Ziemi. Wysłali więc Vannevana oraz jego ludzi, aby zinfiltrowali nasze instalacje, przygotowując się do ataku na nie. A jeśli to nie stanowi zagrożenia dla Ziemi, to nie wiem co innego by mogło.

— Ale uzbrojenie, które wyprodukują, nie zostanie użyte przeciwko wam! — zawołała. — Zostanie użyte przeciwko nam i jeśli nie zdołamy się zmobilizować na czas, nie będziemy mieli szans.

— Posłuchaj — powiedział Birrel. — Connor dopilnuje, aby nasze instalacje były tak pilnie strzeżone, że nikt nie będzie mógł ich zaatakować. Wtedy nie będzie zagrożenia dla żadnej z naszych planet.

Jęknęła, jakby w desperacji, próbując poradzić sobie z idiotą.

— Wasze więzienie było mocne i dobrze strzeżone. Czy mieliśmy jakiekolwiek problemy z włamaniem się do niego? Czy mielibyśmy problem z włamaniem się gdziekolwiek? Straże składają się z ludzi oraz urządzeń elektronicznych. Jesteśmy w stanie je ominąć na wiele różnych sposobów. Tak samo Irrianie. Żadne wasze środki obronne ich nie powstrzymają.

Birrel uświadomił sobie ze ściśniętym sercem, że to prawda.

— Ale musimy walczyć. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy.

— Tak. Oczywiście, że tak. I jest na to tylko jeden sposób.

Jej głos był teraz podekscytowany, mocny, nieustępliwą logiką dobijał podawane argumenty.

— Wróć z nami na Ruun. Powiedz władzom, co wiesz, wszystko co faktycznie widziałeś. To wystarczy, aby uwierzyli i zmobilizowali się. Vannevan i jego ludzie przybyli tutaj tylko na zwiady. Aby dokonać rzeczywistego ataku, musi do was przybyć z Ir mała flota. Ruun jest w stanie ich powstrzymać, wy nie. Rozumiesz? Sposób obrony dla was, leży tam!

I wskazała na błyszczące niebo nad drzewami.

Birrel powiódł wzrokiem za jej gestem i pomyślał: „O Boże, nie mogę! Boję się. Jak daleko jest ten Wolf 359? Nigdy nawet o nim nie słyszałem."

A potem jeszcze pomyślał: „Ale ona ma rację. Connor, całe nasze siły zbrojne – w starciu z flotą z Ir bylibyśmy jak dzieci. Mamy broń atomową, ale nie daliby nam nawet okazji aby jej użyć. Byłoby dokładnie tak, jak stało się to we więzieniu…"

Wsłuchał się w hukanie sów, cykanie świerszczy i odgłosy bulgotania płynącej wody, wciągał nosem chłodną słodycz letniej nocy i wbijał palce w trawę, ponieważ nie chciał opuszczać Ziemi i wszystkiego, co było mu takie znajome.

Ale nad głowami błyszczały i migotały gwiazdy, i trzeba było podjąć jakąś decyzję.

— Jeśli chcesz walczyć o swoją planetę i swoich rodaków — powiedziała cicho Kara, — musisz mieć odwagę zrobić to, o czym wiesz, że jest słuszne, nawet jeśli jest to sprzeczne z rozkazami.

Tak, pomyślał Birrel. W rzeczy samej. Trzeba mieć odwagę.

No cóż, od początku wszystko poszło nie tak. Nie widział, czy dostarczając Karę Connorowi, poprawi w jakiś sposób sytuację. Było ogromne ryzyko, że i tak nie uda jej się zmusić, aby powiedziała gdzie jest ukryty statek z Ruun, który bez wątpienia wystartuje przy pierwszej oznace zagrożenia. W każdym razie, wydawało się, że to Irrianie stanowili zagrożenie dla Ziemi, a ona nie wiedziała, gdzie znajduje się ich statek. Jeśli Kara mówiła prawdę, wynikające z tego opóźnienie może być śmiertelnie niebezpieczne dla obu stron. A jemu wydawało się, że dziewczyna mówi prawdę.

Natychmiast, zanim mógłby jeszcze zmienić zdanie, oznajmił:

— Wygląda na to, że muszę lecieć z wami na Ruun.

— Dobrze — rzuciła ostro. — Dobrze! W takim razie, mamy szansę. — Zerwała się na równe nogi i szarpnęła go niecierpliwie. — Zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu. Chodźmy.

— A teraz ty, poczekaj — powiedział. — Szybciej będzie, jeśli zaplanujemy nasze kroki z wyprzedzeniem. Gdzie jest wasz statek?

— Na północy. W dzikim miejscu za dużym zbiornikiem wodnym… zdaje się, że nazywa się on Zatoka Hudsona.

„No cóż, jeśli ktoś chciał ukryć statek kosmiczny" — pomyślał Birrel, — było to równie dobre miejsce jak każde inne. Ale to było diabelnie daleko.

— Jak się tu dostałaś?

— Skoczkiem.

— Czym?

— Skoczkiem. Mały latacz do skoków planetarnych. Jest ukryty w lesie. Zrobiliśmy dla niego skrytkę, gdy tylko znaleźliśmy dom na tej farmie i przylecieliśmy do niego nocą. Wcześniej trzymaliśmy go w jakichś górach, gdzie początkowo wylądowaliśmy. Chodźmy.

W sumie nie było problemu. Żadnego problemu. Wystarczyło znaleźć zamaskowaną skrytkę w letnim lesie i można było wsiąść do zgrabnego, nieprawdopodobnego statku, który się w niej znajdował, oraz obserwować dziewczynę w jasnobrązowym stroju, manipulującą paroma urządzeniami sterującymi, ze swobodą nastolatka korzystającego z gramofonu. Jakaś cicha siła – sprężone powietrze, pomyślał Birrel, przypominając sobie eksperymentalne modele aerodyn, które widział – uniosła skoczka wysoko w górę i wprawiła w ruch, a ostatnie czerwone węgle zgliszczy tlącego się domu, mrugnęły do nich w czarnym wiejskim krajobrazie i po chwili zniknęły.

O świcie byli już daleko na północy i z niewiarygodną szybkością przecinali niebo na fantastycznej wysokości. Każdy radarzysta, który przypadkiem złapałby ich na swoim ekranie, zgubiłby ich tak szybko, że nigdy by nie uwierzył, iż cokolwiek widział. Zaś Birrel wiedział o Karze i jej rodakach, dużo więcej niż wcześniej.

Ojciec Kary był wysokim oficerem w wywiadzie Ruun, w czasach gdy, według jej słów, pokojowe istnienie czterech planet zależało od jego skuteczności. Ona sama, w efekcie czegoś w rodzaju dumy rodzinnej, również wstąpiła do wywiadu, który w tych późniejszych czasach skurczył się do małej i prawie zapomnianej grupy ludzi, oddanych idei nieufności względem Irrian.

To właśnie ci ludzie z wywiadu wykryli odlot statku Irrian na Ziemię i domyślili się powodów jego lotu. Ale oficjele z Ruun nie dali się wpędzić w panikę. Nie zamierzali podrywać czterech planet na równe nogi, ze wszystkimi tego konsekwencjami, tylko dlatego, że jakiś statek odbył podróż do innego układu słonecznego. Uznali, że ta podróż międzygwiezdna raczej może być początkiem nowej ery pokojowej ekspansji, a Irrianie w końcu zajmą należne im miejsce w cywilizowanej społeczności planet. Pozwolili by statek z agentami z Ruun śledził i kontrolował Irrian, ale nic więcej. A wszelkie przyszłe działania miały zależeć od tego, jakie udokumentowane informacje przywiozą z powrotem.

Koledzy Kary zostali zmuszeni do poświęcenia odrobiny czasu, na nauczenie się języka i zwyczajów w tej części Ziemi, w której będą prowadzili swoje sprawy, w na tyle dobrym stopniu aby mogli tam przetrwać. Zrobili to – jak też zapewne zrobili to Irrianie – przystosowując swoje telewizory do odbioru ziemskich transmisji, które potrafili ściągać z niesamowitych odległości, a potem oglądali je godzinami z pomocą lingwistów i socjologów. Potem, kiedy przybyli w pościgu za Irrianami, mogli dość łatwo wśliznąć się w kosmopolityczne życie Nowego Jorku, przyzwyczajonego do rozmaitych akcentów mowy i dziwnych sposobów zachowania.

— Oto statek — powiedziała nagle Kara.

Sprowadziła skoczek niżej w tempie zjazdu windy ekspresowej i wskazała kawałek pustej ziemi, w kształcie klina, pomiędzy dwoma skalistymi występami, u podnóża zbocza górskiego. Światło wschodzącego słońca wypełniało w tym miejscu powietrze swego rodzaju oślepiającą mgiełką, ale poza tym nie było tam zupełnie niczego.

— Nie widzę żadnego statku — powiedział. — Gdzie on jest?

— Zapomniałam, że wy nie znacie kamuflażu refrakcyjnego. Kiedy ktoś jest do niego przyzwyczajony, potrafi go dostrzec nawet bez przyrządów, jeśli wie gdzie patrzeć. Masz. — Wprowadziła kilka szybkich poprawek w ustawieniach małego urządzenia, podobnego do wizjera aparatu fotograficznego. — Jest dostosowany do wybranej przez nas prędkości drgań. Kamuflaż utrudnia wrogowi odnalezienie nas.

Birrel popatrzył przez wizjer i zobaczył smukłą, srebrną iglicę stojącą na płaskim terenie z dziobem skierowanym w niebo.

Ponownie wyjrzał przez port widokowy i niczego nie zobaczył.

— Promienie światła uginają się w polu magnetycznym wokół statku — wyjaśniła. — Teraz zrzucą kamuflaż. Patrz.

Nacisnęła przełącznik, uruchamiając jakiś automatyczny system sygnalizacyjny. Wypełniona blaskiem słońca mgiełka zniknęła i pojawił się srebrny statek. Wylądowała obok niego.

Wysiadła ze skoczka i czekała, aż Birrel wyjdzie za nią. Zawahał się, patrząc na statek. Otworzył się właz i w stronę skoczka opadł magnetyczny chwytak. Poniżej pojawił się znacznie mniejszy właz, z którego wysunęła się drabinka. Birrel zdawał sobie z tego sprawę, że kiedy wejdzie po tej drabince znajdzie się w pułapce. Statek wystartuje i…

— Nie ma się czego bać — powiedziała z uśmiechem Kara.

Zacisnął zęby i podszedł razem z nią do drabinki, wspiął się po szczeblach i wszedł na statek.

Pachniało w nim jak w łodzi podwodnej, olejem, metalem i powietrzem ze zbiornika.

Znalazł tam człowieka w dziwnie wyglądającym kombinezonie, który wpatrywał się w niego i rozmawiał z Karą. Słuchał jak Kara wyjaśnia sytuację, a tymczasem właz śluzy za jego plecami zasunął się ze zgrzytem i zblokował, z idealną precyzją.

Kara przedstawiła mu człowieka z którym rozmawiała:

— To jest Thile. Dowodzi statkiem.

Birrel wymienił z nim uścisk dłoni. Thile był niewysokim, szczupłym mężczyzną o bardzo bystrych oczach i twardej, wskazującej na kompetencję, szczęce.

— A więc Holmer i Rett nie żyją — stwierdził z ponurym żalem. — No cóż, każemy Vannevanowi za nich zapłacić. Pomóż mu się przypiąć, Karo. Wylatujemy natychmiast. — Spojrzał na Birrela. — Jeśli wrócimy na Ruun bez żadnej dalszej zwłoki, być może uda ci się na czas przekonać naszych, idących jak owce na rzeź, przywódców. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Pośpieszył gdzieś na dziób – albo w górę. Kara zabrała Birrela do małej kabiny, w której stało kilka wyściełanych kanap i pomogła mu się poprzypinać szerokimi pasami.

— Wystraszony?

— Ani trochę.

— Kłamca. Nie martw się. Pierwszy start jest zawsze najgorszy.

Nachyliła się impulsywnie i cmoknęła go żartobliwie, jak matka kładąca do łóżka zaniepokojone dziecko. Statek nagle wydał z siebie głośny ryk i zakołysał się, a po całym pokładzie zaczął buczeć głośny sygnał. Weszła na leżankę stojącą koło jego kanapy.

Serce Birrelowi szaleńczo waliło, a krew w jego żyłach zrobiła się zimna i rzadka jak woda.

Rozległ się hałas. Oszałamiające, ogłuszające crescendo. Potem pojawiło się wrażenie ruchu. Znajdował się jakby na szczycie idącego w górę tłoka, który wpychał go powoli i nieubłaganie w powietrze, ściskane w coraz mniejszej przestrzeni. Otworzył usta i krzyknął ze strachu, oczyma wyobraźni widząc siebie zmiażdżonego w spłaszczoną miazgę. Krzyk ten utonął w wybuchu potężnego ryku, który otoczył statek. Wydawało się, że minęły wieki. A potem, w cudowny sposób, parcie osłabło i wreszcie zniknęło.

Z głośnika w ścianie nagle dobiegł głos Thile'a.

— Kłopoty, Kara. Radar pokazuje, że inny statek wystartował z Ziemi, tuż za nami.

Birrel usłyszał jej szybki, ostry okrzyk.

— A więc Vannevan czekał przy swoim radarze na nasz start. Wiedziałam, że nigdy nie pozwoli nam wrócić na Ruun, jeśli tylko będzie mógł temu zapobiec!

ROZDZIAŁ VII

Wszyscy zebrali się teraz na mostku statku. Thile, Kara i młody mężczyzna imieniem Vray naradzali się w napięciu z radarzystą i sprawdzali najeżony instrumentami pulpit.

Birrel patrzył na kosmos.

Iluminatory po jednej stronie były osłonięte przed blaskiem słońca, więc nie mógł go zobaczyć. Ziemia była za nimi lub pod nimi, więc jej także nie widział. Wszystko, na co mógł patrzeć, to próżnia kosmiczna, nieskończone jej bezmiary, pozbawione góry i dołu, przodu i tyłu, początku i końca. Unosiły się w niej gwiazdy, milionami i miliardami, jak ławice ognistych ryb błyszczących czerwienią i złotem, błękitem i zielenią, bielą i fioletem, pomarańczą i matowym szkarłatem. Nie były jakoś specjalnie stłoczone. Między nimi było dużo miejsca. Oko było wciągane coraz dalej i dalej w te olbrzymie otchłanie, a ciało nieświadomie próbowało podążać za nim, aż wreszcie umysł zatrzymał się na krawędzi jakiejś psychicznej katastrofy i zaczął krzyczeć o solidną podstawę. Birrel odwrócił się od iluminatora, chwycił za jakiś słupek i stał z zamkniętymi oczami, spocony i drżący, jakby właśnie wziął udział w wyścigu.

Kara powiedziała:

— To naprawdę robi wrażenie, co?

Pokazał bez słów, że tak. Skinęła głową.

— Z nami wcale nie jest inaczej. Patrzymy na nasze letnie niebo, tak jak i wy, i marzymy o tym jak tam jest. Czytamy książki, oglądamy zdjęcia. Ale nie można tego do końca sobie wyobrazić, dopóki samemu nie poleci się w kosmos i wszystkiego nie zobaczy się na własne oczy. I nie sądzę, by kiedykolwiek przestał on budzić podziw i respekt. U mnie, nigdy.

Birrel otworzył z powrotem oczy, ale trzymał wzrok mocno utkwiony we wnętrzu mostka. Thile i Vray wciąż wisieli nad swoimi przyrządami, wyglądając bardzo ponuro.

— Ten statek — powiedział Birrel. — Przypuszczam, że spróbuje nas pochwycić. Powstrzymać nas przed przekazaniem wiadomości na Ruun.

— Nie wyobrażam sobie, by Vannevan pozwolił nam odlecieć bez walki. — W jej głosie może tak nie do końca słuchać było strach, ale miał on w sobie pewnego rodzaju nerwową ostrość, która daleka była od beztroski.

— Czy on jest w stanie to zrobić? To znaczy, pochwycić nas?

— Irrianie to dobrzy piloci, a ich statki są tak samo szybkie jak nasze. Ale Thile jest czarodziejem. W kosmosie potrafi prześcignąć wszystko.

Thile usłyszał ją i uniósł wzrok. Oznajmił kwaśno:

— Dzięki. Ale równie dobrze możesz powiedzieć mu prawdę. Vannevan nie będzie polegał wyłącznie na szybkości statku i swoich umiejętnościach, ale na uzbrojeniu. A my nie mamy na pokładzie broni atomowej. Nasi mędrcy z rządu nie uważali tego za rozsądne, biorąc pod uwagę, że wkraczaliśmy na obcą planetę i mogliśmy mieć jakiś wypadek, taki jak na przykład rozbicie się w mieście. Byli bardzo rozważni pod tym względem.

— Jako Ziemianin doceniam to — stwierdził Birrel. — Ale macie broń konwencjonalną, prawda? To przynajmniej równorzędne warunki.

— Nie jesteśmy wprawieni w jej użyciu — odparł Thile. — Oni są. Ale zrobimy co w naszej mocy. Uwierz mi.

Popatrzył na Vraya i skinął głową.

— Przygotuj się do translacji.

Birrel spojrzał na Karę.

— To tylko oznacza — odparła — że polecimy szybciej.

— O ile szybciej?

— No cóż, na początku — wyjaśniła — około dwa razy szybciej niż prędkość światła.

Birrel przestał próbować akceptować intelektualnie te wszystkie rzeczy. Po prostu przyjął to do wiadomości.

Światła wewnątrz statku przygasły i zapłonęły na niebiesko. Rozległ się piskliwy skowyt, który robił się coraz wyższy, i w końcu wyszedł poza zakres słyszalności, szarpiąc nerwy, po czym miała miejsce chwila straszliwego zawrotu głowy, kiedy statek i wszystko na nim wydawało się ślizgać i spadać na boki w szaleńczy sposób.

Otwarte iluminatory automatycznie się zasunęły. Tuż przed ich zamknięciem Birrel dostrzegł przez nie gwiazdy, na które patrzył zaledwie parę chwil wcześniej. Przesuwały się one, płynęły jak strugi płonącego deszczu, i znikały zastępowane przez wijące się linie światła.

Potem porty zamknęły się i nic, poza osobistym poczuciem dezorientacji, nie świadczyło o tym, że cokolwiek się stało.

Z dystansem, jak człowiek który wie że śni, i dlatego te wszystkie dziwne rzeczy nie dzieją się naprawdę, w związku z tym nie muszą być poważnie traktowane, Birrel słuchał głosów ludzi, którzy wykonując najwyraźniej jakieś rutynowe procedury, wypowiadali rozmaite techniczne terminy, które dla niego nie miały żadnego znaczenia. Potem radarzysta powiedział:

— Są razem z nami.

Thile chrząknął.

— Pełne przyspieszenie — rozkazał. — Zrób to tak szybko, jak tylko potrafisz. Może ich generatory nie są tak dobre jak nasze.

Skowyt podniósł się ponownie, ale o innym tonie. Birrel wyobraził sobie siebie wewnątrz żelaznego jaja lecącego w przestrzeni — tylko jakiej

przestrzeni? — z podwójną, potrójną, poczwórną prędkością światła. Wyrzucił tę myśl z umysłu tak szybko, jak tylko mógł. Powiedział do Kary:

— Dlaczego ludzie częściej nie podróżują do gwiazd? Najwyraźniej macie efektywny napęd do tego.

— Do niedawna nie mieliśmy na to czasu — odparła Kara. — Irrianie sprawiali, że byliśmy za bardzo zajęci. Potem kilka wypraw badawczych, które wysłaliśmy do sąsiednich systemów, dało zniechęcające rezultaty. W większości przypadków planety nie nadawały się do zamieszkania, a te na których istniały jakieś formy życia, były dosyć paskudne. Nasz rząd nie zachęcał do lotów międzygwiezdnych. Myślę, że boją się tego, co mogłoby przylecieć z rewizytą do nas.

Statek zakołysał się i zadrżał. Birrelowi wydawało się, że nieomal czuje atomy pełzające w metalu pod jego ręką.

— Czy zdarza się, że w coś uderzycie — zapytał. — Mam na myśli, na przykład w gwiazdę.

— Nie za często. Jak mi się wydaje, skutki takiego wydarzenia byłyby dosyć spektakularne. Niemal natychmiast stałbyś się nową.

Roześmiał się. Nie zadawał więcej pytań.

Skowyt w końcu ustał, odmawiając pójścia jeszcze wyżej. Zestaw wskazówek przyrządów osadzonych na głównej tablicy sterowniczej, ustabilizował się.

Vray oznajmił:

— I tak to się robi.

Radarzysta pokręcił głową i powiedział:

— Nadal są z nami.

Zmarszczki na twarzy Thile'a pogłębiły się, zmieniając ją w ponurą i twardą maskę.

— Na stanowiska. Postaramy się ich dopaść, zanim oni dopadną nas.

Birrel zapytał:

— Co chcecie, żebym robił?

— Poszedł z powrotem na swoją leżankę i przypiął się pasami. Może być ciężko.

Pokręcił głową.

— Musi być coś, co mogę zrobić.

— Byłbyś tylko przeszkodą — odparła Kara. Zdejmowała już panel ochronny z pulpitu sterującego, złowrogo zaznaczonego czerwonym kolorem. Uśmiechnęła się, żeby złagodzić żądło słów. — Będziesz potrzebował skafandra próżniowego. Ten Retta, będzie na ciebie pasował.

Wyjęła z szafki workowaty skafander i plastikowy hełm, i podała mu je. Pozostali zakładali podobne ubiory, pozostawiając hełmy otwarte. Birrel spytał:

— Po co to?

— Na wypadek, gdybyśmy mieli przebicie kadłuba. Jeśli usłyszysz sygnał ostrzegawczy, zatrzaśnij hełm. Szybko.

Pokazała mu jak to zrobić, a potem praktycznie wypchnęła go z mostka. Wrócił do kabiny i położył się na leżance, czując się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, od początku tej szaleńczej wyprawy. Był przerażony i nie bał się do tego przyznać. Gdyby tylko mógł coś zrobić,

choćby cokolwiek, nie byłoby aż tak źle. Ale tak leżeć tutaj samotnie, na tym kompletnie niesamowitym statku, myśląc o absolutnie niewiarygodnym, ale całkowicie realnym zniszczeniu, które mogło go spotkać – to było coś, o co nie powinno się prosić żadnego człowieka.

A on musiał to zrobić.

Był w stanie wyczuć „dotyk” statku i na jego podstawie ocenić co się dzieje — lekkie pchnięcie i drżenie, kiedy przypuszczalnie wystrzelono pociski, większe szarpnięcia, które mogły oznaczać tylko minimalnie przestrzelone strzały z broni wroga. Przyszło mu do głowy, że to, co ci ludzie z gwiazd rozumieli przez „konwencjonalną broń”, prawdopodobnie wcale nie było prostymi materiałami wybuchowymi, które na Ziemi określano tą nazwą. Problemy techniczne, związane z wystrzeliwaniem jakichkolwiek pocisków przy prędkości większej od światła, tak dalece przekraczały jego zdolności pojmowania, że nawet nie próbował ich rozgryźć. Ale nie było wątpliwości, że dzieje się coś takiego. Każdy skok i pchnięcie statku, mówiły mu to niechybnie.

Mimo to Birrel nie był przygotowany na nagłość i gwałtowność tego, co się wydarzyło.

Nagle nastąpiło uderzenie. Poczuł je fizycznie i tym razem także je usłyszał, przeniesione przez powietrze na statku.

Poleciał w górę zatrzymując się na pasach, gdy oś grawitacyjna statku uległa gwałtownemu odwróceniu. Światła przygasły do poziomu widmowego błękitu i rozległo się okropne, udręczone wycie przeciążonych generatorów. Statek przebił się do normalnej przestrzeni, z takim samym trudem jak pędzący samochód rozbija kamienną ścianę, tyle że znacznie większym. Birrel usłyszał dźwięk sygnału ostrzegawczego. Zatrzasnął hełm, po czym bezwładność rzuciła go na leżankę antyprzeciążeniową, jak na granitową płytę, a stawy statku zaczęły składać się wokół niego. Potem wszystko ucichło, generatory, klakson, wszystko. Statek zamilkł, poza jednym dźwiękiem, sykiem uciekającego powietrza.

Oszołomiony i, choć trudno było mu w to uwierzyć, ciągle żywy, Birrel odpiął pasy i uniósł się nad leżanką.

Statek wciąż się poruszał, lecz nie panowało już na nim żadne godne uwagi pole grawitacyjne. Birrel znalazł się w stanie nieważkości. Wypłynął z kabiny w kierunku mostka jak wielki niezdarny balon, czepiając się palcami, kiedy statek wokół niego przechylał się, chwiał i kołysał, a jego sztywna konstrukcja załamywała się. Statek był równie bezwładny jak jego własne ciało. Prądy uciekającego powietrza unosiły szaleńczo po całym wnętrzu papiery, ubrania, elementy wyposażenia, szczątki wraku. Ogarnął go paniczny strach, żeby nie pękł mu hełm lub nie rozdarł się skafander.

Mostek zmienił się w rumowisko powyginanej stali i potłuczonego szkła. Radarzysta leżał przygnieciony resztkami urządzeń, które się na niego przewróciły i zmiażdżyły go. Thile, przypięty pasami do fotela pilota, ledwie się ruszał. Birrel gorączkowo rozejrzał się za Karą.

Znalazł ją przypiętą pasami do fotela antyprzeciążeniowego przed panelem kierowania ogniem. Z początku myślał, że nie żyje, ale kiedy przyjrzał się jej bliżej, zobaczył że oddycha. W tej chwili i tak nie mógł nic dla niej zrobić, a ona była bezpieczniejsza tam, gdzie była, więc zostawił ją i poszedł pomóc Thile'owi. Po Vrayu nie pozostało nawet śladu, z wyjątkiem kilku niewielkich czerwonych sopli uformowanych na krawędzi postrzępionej szczeliny w kadłubie, przez którą z mostku zostało już wyssane wszystko, co nie było przymocowane.

Głos Thile'a dobiegł słabo przez audio hełmu.

— Mówiłem ci, że oni są lepszymi strzelcami.

— Jesteś ranny?

— A ty?

— Jeszcze nie wiem. Nie miałem czasu sprawdzić.

— Ani ja — odparł Thile. — Mogę stanąć na nogach, więc chyba przeżyję. Z jego hełmu wyciekała krew. Wciągnął ją nosem i wykonał daremną próbę wytarcia hełmu. — No cóż, to załatwia sprawę. Vannevan zwyciężył, klamka zapadła. — Zaklął, przygnębiony i zgorzkniały. — Czterech dobrych ludzi zginęło i wszystko na nic. To nie była nawet dobra próba.

Pokazał ręką przez wyrwę w ścianie na czarną, spokojną przestrzeń kosmiczną, w której błyszczały dalekie gwiazdy.

— Widzisz?

Widać było tam statek, dopasowujący swoją prędkość do powolnego dryfowania wraku. Z jego smukłego kadłuba wyłonił się znacznie mniejszy pojazd i wyrzucił z siebie strugę ognia.

— W ciągu kilku minut wejdą na nasz pokład.

Pamiętając sposób, w jaki Vannevan prowadził przesłuchanie na farmie, Birrel widział niewiele nadziei. Jeśli on, Thile i Kara mieli znaleźć się na łasce Vannevana, to może lepiej byłoby gdyby poszli w ślady Vraya i radarzysty.

Chyba że…

— Posłuchaj — powiedział nagle Birrel. — Posłuchaj, jest pewna rzecz, której możemy spróbować. — Podszedł do Kary i zaczął nią potrząsać, aż otworzyła oczy. — Nie mamy dużo czasu, oboje musicie ze mną współdziałać, inaczej to się nie uda. To może dać nam przewagę, którą wykorzystamy przeciwko Vannevanowi. Posłuchajcie…

Mówił szybko, z naciskiem i słuchali, podczas gdy łódź ratunkowa irriańskiego statku, zbliżała się, lecąc na swym ognistym silniku rakietowym przez czarną przestrzeń na zewnątrz.

Thile w końcu stwierdził:

— To może zadziałać…

— To będzie niebezpieczne — szepnęła Kara. — Jeśli on się zorientuje…

— I tak nie wydaje mi się, żebym miał zbyt wiele do stracenia — stwierdził sucho Birrel. — Pośpieszcie się!

Kiedy Vannevan i jego ludzie weszli na rozbity statek, zastali Thile'a i Karę mocno trzymających się razem, oraz Ziemianina Birrela, przywiązanego do fotela antyprzeciążeniowego z ciasno związanymi z tyłu rękoma.

ROZDZIAŁ VIII

Irrian było sześciu, wliczając w to Vannevana. Mieli na sobie skafandry próżniowe i wszyscy byli uzbrojeni. Dwóch z nich natychmiast podeszło do Thile'a i Kary, aby sprawdzić czy nie mają broni, ale niczego nie znaleźli. Czas oporu minął.

Inny z ludzi, zgodnie z instrukcjami Vannevana, zaczął otwierać szafki, które wciąż pozostały nienaruszone, w poszukiwaniu dokumentów. Pozostali stali na straży. Poradzili sobie z łatwością, mając doświadczenie w zerowej grawitacji.

Birrel popatrzył na Vannevana i kwaśno stwierdził:

— Z deszczu pod rynnę. Nie wiem, kto z was jest gorszy.

Oczy Vannevana były jasne, okrutne, kompetentne i pełne szczęścia. Ogromnego szczęścia. Wymazał z nawiązką klęskę, której doznał na farmie. Całkowicie zmiażdżył Ruunitów. Dla niego był to wspaniały dzień.

Uśmiechnął się do Birrela.

— Widzisz, co się dzieje z wścibskimi ludźmi.

— Nie nazwałbym tego wścibstwem — zauważył Birrel. — Dopadliśmy szpiega. To naturalne, że chcieliśmy się dowiedzieć, dla kogo on pracuje i dlaczego u nas się pojawił.

— Kiedy już się tego dowiedziałeś — spytał Vannevan — dlaczego nie zgłosiłeś się do swoich przełożonych? Byłeś wolny. Dokładnie pamiętam, że byłeś wolny.

Birrel wskazał Karę gwałtownym ruchem podbródka.

— Wyperswadowała mi to, niech ją diabli. Przy pomocy broni.

— Ach tak — oznajmił Vannevan, uśmiechając się i kręcąc głową. — Ale ona nie miała broni. Sam o to zadbałem.

— Coś tam jednak miała — wyjaśnił z goryczą Birrel. — W skoczku. Powiedziała mi, że ma ukryty inny samochód na wypadek sytuacji awaryjnych i jak idiota jej uwierzyłem. Zamiast samochodu było tam to latające ustrojstwo, a ona wyciągnęła z niego broń. Następna rzecz, którą pamiętam, to że znajdowałem się na pokładzie tego statku, jako więzień. Zamierzali zabrać mnie ze sobą na Ruun, nie patrząc czy mam ochotę tam lecieć, czy nie.

Kara ponuro wtrąciła.

— Jego kumple zabili Retta. To było najmniej, co mogliśmy zrobić.

— Posłuchajcie — powiedział Birrel, walcząc ze złością z pasami, które go trzymały. — Nie obchodzi mnie, jakie spory was dzielą. Nie obchodzi mnie, czy wysadzacie sobie nawzajem swoje planety w powietrze. Ja jestem Ziemianinem. Nie pasuję tutaj. Ja…

Popatrzył dokoła po zniszczonym statku i na rozwierający się straszliwie za rozdartym kadłubem kosmos. Birrelowi nie było trudno przywołać na twarz wyraz strachu.

— Chcę wracać — powiedział.

Vannevan spojrzał na niego.

— Jak bardzo?

Birrel nie patrzył mu w oczy. Wymamrotał:

— Wystarczająco mocno.

— No cóż — odparł Vannevan. — Zobaczymy. — Wskazał na jednego ze swoich ludzi. — Odetnij go. Znaleźliście coś?

Irrianin, który przeszukiwał szafki, pokręcił głową, a Thile wtrącił:

— Od razu mogłem ci powiedzieć. Nie prowadzimy pisemnych zapisów.

Vannevan wzruszył ramionami i powiedział:

— Chodźmy.

Popłynęli z gracją przez statek, a Birrel ociężale mozolił się wśród nich. Przeszli przez pozbawioną powietrza śluzę i weszli do szalupy ratunkowej. Po krótkim czasie zostali przewiezieni do kapsuły pod brzuchem irriańskiego statku, a w chwilę później Birrel razem z Thile i Karą, znalazł się jako więzień w zamkniętej kajucie.

Statek zatrzymał się tylko na tyle, by dokończyć niszczenia wraku. Potem wszedł w hipernapęd i ruszył w drogę na Ir.

Przez resztę drogi, doskonale wiedząc że są obserwowani, cała trójka utrzymywała pozory wrogości. Ale Birrel coraz bardziej podziwiał Thile'a i Karę. Ponieśli osobistą porażkę i znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Ich misja zakończyła się fiaskiem. Ich planeta i sposób życia, które zależały od wyniku tej misji, były zagrożone zniszczeniem. Ale w milczeniu i z odwagą trzymali się swej nadziei, i nigdy się nie skarżyli – w uderzającym kontraście do samego Birrela, którego rola wymagała nieustannego narzekania.

Birrel uważał, że wystarczająco dobrze ugruntował swoją opinię przerażonego człowieka, którego można nakłonić do zrobienia niemal wszystkiego, dla uzyskania odpowiedniej nagrody. A przynajmniej miał taką nadzieję. Ponieważ od tego zależało nie tylko jego własne życie, ale także życie Thile'a i Kary, nie mówiąc już o bezpieczeństwie kilku planet, w tym jego własnej. Nieco zirytowało go, gdy odkrył, że bezpieczeństwo Kary ma dla niego większe znaczenie niż cokolwiek innego. Stwierdził wtedy, że jest w niej zakochany.

W końcu nadszedł czas, kiedy zabrzmiało ostrzeżenie, światła zapaliły się na niebiesko, statek zadrżał, a potem odsłonił się iluminator.

— Wyszliśmy z hipernapędu — stwierdził Thile. — Jesteśmy na miejscu.

Birrel, kiedy patrzył z nimi przez iluminator, poczuł respekt i podziw. Statek, znajdujący się znów w normalnej przestrzeni, przesuwał się po łuku w kierunku słońca, którego diamentowy blask przyćmiewał gwiazdy.

Prawie niknąc w tym wszechogarniającym blasku, daleko po drugiej stronie układu, przemieszczały się trzy punkciki światła. Thile i Kara spoglądali w stronę największego z tych trzech.

— Ruun — wyszeptała Kara. — Gdyby tylko wiedzieli, gdybyśmy tylko mogli przekazać im wiadomość…

Thile powiedział z goryczą:

— A co by to dało, nawet gdybyśmy byli w stanie wysłać im ostrzeżenie? Nasz ostrożny rząd stwierdziłby po prostu, tak jak robił to już wcześniej: „Nie macie dowodu na to, że Irianie myślą o wojnie, a bez dowodu nie możemy działać”.

Statek obrócił się, wchodząc na swoją trajektorię podejścia do lądowania, i wkrótce Birrel zobaczył zbliżającą się do nich planetę.

Był to pokryty bliznami świat czerni i zieleni. Z początku myślał, że są to strefy lądów i wód, ale gdy zeszli niżej, zobaczył, że tak nie jest – że zieleń to żyzne równiny, ale złowrogie czarne obszary są ziemiami całkowicie martwymi, popielatymi, wypalonymi i jałowymi.

— To właśnie zrobili oligarchowie Ir ze swoją planetą — wyjaśniła Kara. — Te wypalone regiony to blizny po wojnach między nimi. A teraz, bez materiałów rozszczepialnych, muszą udawać się w kosmos po środki zniszczenia!

Statek skierował się w dół, w stronę jednego z rozległych zielonych obszarów. Znajdowało się tu miasto — rozciągające się jak okiem sięgnąć szare morze masywnych budynków, z mnóstwem skoczków i samochodów naziemnych, nad nim i w jego środku. Za miastem znajdował się port kosmiczny, a srebrne wieże wielu statków odbijały blask diamentowego słońca.

Poczuli że wylądowali. Potem zapadła cisza. Czekali na przybycie Vannevana, ale się nie pojawił. Zamiast niego przyszła grupa uzbrojonych irriańskich strażników i wyprowadziła ich ze statku na poczerniały betonowy fartuch. Stali tam kilka minut na chłodnym wietrze.

Birrel pomyślał, drżąc: „Ta planeta, na której stoję, to nie Ziemia. Nie moja planeta…”

Diamentowy blask słońca był jakiś nieodpowiedni, kolor nieba był niewłaściwy, uczucie zbyt lekkiego ciała było dziwne. Za nimi stał srebrny statek, a przed nimi rozciągało się wielkie szare miasto, wszystko nie takie, jakieś dziwaczne…

— Pamiętaj o swoim planie — szepnęła Kara.

Birrel uspokoił się. Miał rolę do odegrania, a od tego jak to zrobi, może zależeć ich ostatnia niewielka szansa. Odegra swą rolę i teraz.

Dał przekonujący popis człowieka, który znajdował się na skraju paniki. Popatrzył na słońce, krzyknął i zamknął oczy, a potem znów je otworzył i rozejrzał się szaleńczo wokół siebie. Następnie, wrzeszcząc pełnym histerii głosem, zaczął wycofywać się w stronę statku kosmicznego.

Strażnicy złapali go i zaciągnęli z powrotem na miejsce. Lamentował ostrym, piskliwym tonem:

— Nie mogę tu zostać, nie zostanę – chcę wracać…

Irriańscy strażnicy zaczęli go wyśmiewać. Kiedy nadjechał zakryty pojazd podobny do lekkiej ciężarówki, wepchnęli do środka jego, Karę i Thile'a, oraz wsiedli za nimi, wciąż się śmiejąc.

Kiedy ciężarówka pędziła do miasta, Birrel dygotał i patrzył na wszystko odrętwiałym, przerażonym spojrzeniem.

Miasto okazało się rzeczywiście takie ponure, jak wyglądało z daleka. Powszechnie stosowany w nim szary, użytkowy materiał budowlany z cementu, nie służył jego urodzie. Mężczyźni i kobiety na ulicach chodzili przeważnie w ponurych kombinezonach, które też nie były zbyt piękne. Birrel zauważył, jak spoglądają na przejeżdżającą ciężarówkę i strażników, i pomyślał, że na niektórych obserwujących ich twarzach widać było posępne miny. Przypomniał sobie, co powiedziała Kara, iż wielu Irrian było niezadowolonych z rządów swoich oligarchów, ale byli krótko trzymani. Pomyślał, że faktycznie na to wygląda.

Ciężarówka skręciła w końcu na jakiś dziedziniec i zatrzymała się. Zamknęły się za nią ciężkie wrota. Birrel oraz inni zostali wyprowadzeni. Udało mu się zbliżyć do Kary i pokrzepić ją uściskiem dłoni. Następnie zabrano ich do wnętrza budynku z zielonkawego kamienia, a nie cementu, ze złowieszczo wyglądającymi poziomymi szczelinami w ścianach, zamiast okien.

W środku, bez słowa wyjaśnienia, zostali rozdzieleni. Thile'a i Karę zabrano po schodach na górę, podczas gdy pilnujący Birrela poprowadzili go głównym korytarzem. Hol pomalowany był na utylitarny szary kolor i w regularnych odstępach stali w nim strażnicy. Mniej więcej w połowie jego długości znajdowały się drzwi przed którymi stały podwójne straże. Uzbrojona eskorta Birrela zatrzymała go tutaj, porozmawiała z jednym ze strażników, który z kolei porozmawiał z kimś wewnątrz, przez interkom z małym ekranem wideo. Po chwili drzwi się otworzyły i Birrel został wprowadzony do środka.

Po jednym boku dużego kwadratowego stołu siedział Vannevan. Za stołem siedział drugi człowiek, starszy od Vannevana i wyglądający na o wiele bardziej doświadczonego w prowadzeniu wojny z wyboru, a nie z konieczności. Jego twarz była jak wykuta z kamienia, a dziwnie nieprzezroczyste oczy wpatrywały się w Birrela, gdy odsyłano strażników.

Vannevan oznajmił:

— Oto jest nasz Ziemianin. — A Birrelowi powiedział: — To jest pan Wolt, nasz minister obrony.

Birrel powstrzymał przed oczywistym komentarzem. Od tej chwili wszystko zależało tylko od niego i musiał być ostrożny. Wszelkie nadzieje na przewagę, jaką mógłby zyskać, skłaniając Irrian do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu aby zostać ich narzędziem, mogły zostać zaprzepaszczone jednym nieostrożnym słowem.

— Rozumiem — oznajmił Wolt — że Ruunici porwali pana i siłą wywieźli w kosmos.

— Zgadza się.

— Poważny czyn. I rozumiem, że bardzo pragnie pan wrócić na swoją planetę.

Birrel spytał ochoczo:

— Czy to możliwe, czy jest jakiś sposób? Nie zniosę tego, kosmosu, gwiazd i planety, której nigdy wcześniej nie widziałem na oczy. Muszę wrócić…

Zobaczył, że Wolt i Vannevan obserwują go uważnie, gdy tak bełkotał w fali udawanej histerii, i pomyślał, że wyglądali na usatysfakcjonowanych tym, co widzieli.

Wolt powiedział:

— Parę z naszych statków wróci na Ziemię z pewną misją. Może pan wrócić z nimi, jeśli…

— Jeśli? — wszedł mu ochoczo w słowo Birrel.

Odpowiedział mu Vannevan.

— Jesteś tajnym agentem potężnego państwa na Ziemi. Mógłbyś pomóc naszej misji.

Teraz twarz Birrela wypełniła się niepokojem, ostrożnością.

— Jak mogłeś tak pomyśleć, Vannevan? Słuchaj, no pewnie że chcę wrócić. Ale nie zamierzam zdradzić żadnych tajemnic ani pomóc wam ukraść pluton czy też…

Wtrącił się twardy głos Wolfa.

— Rozważmy sytuację realistycznie. Utrata odrobiny materiału rozszczepialnego, robi bardzo niewielką różnicę dla Ziemi, z jej ogromnymi zasobami. Czyż nie tak?

Ostrożnie, niechętnie, Birrel stwierdził, że nie wydaje się mu, aby to miało jakieś większe znaczenie, nie.

— Musi pan zaakceptować jeden fakt. Bez względu na to, co pan jako jednostka zrobi albo nie zrobi, my zabierzemy te materiały. Od tego zależy życie naszej planety. Rozumie pan to?

— Tak.

— Bardzo dobrze. A więc decyzja, przed którą pan stoi, wygląda tak. Czy wyświadczy pan swojej planecie większą przysługę, odmawiając nam informacji, których potrzebujemy, a tym samym zmuszając nas do podjęcia możliwych środków siłowych w celu realizacji naszej misji – czy pomagając nam w jej wykonaniu po cichu, a tym samym ratując wiele istnień ludzkich?

— Pomyśl o broni, jaką mamy do dyspozycji — dorzucił Vannevan. — Pomyśl, jak uzbrojeni są twoi Ziemianie. Wiesz, jakie mają szanse na odparcie nas.

Birrel pomyślał, że będą mieli całkiem niezłe szanse, ale tego nie powiedział. Zmarszczył brwi i popatrzył niespokojnie na podłogę.

— Co chcecie, żebym zrobił?

— Vannevan powiedział mi, że pańscy koledzy są w posiadaniu pewnego zapisu promieni sondujących, który został zabrany naszemu człowiekowi. Chcielibyśmy go odzyskać.

— To niemożliwe — odparł Birrel. — Nawet prezydent nie mógłby tego zrobić.

Wolt wzruszył ramionami.

— W takim przypadku to pan będzie musiał dostarczyć nam takich samych informacji.

Zapadła długa cisza. Wtedy Birrel oznajmił z odpowiednim brakiem przekonania:

— Nie, nie mogę tego zrobić.

Vannevan wstał.

— Myślę, że lepiej pokażmy mu jaskinię, Wolt. Nie wydaje mi się, aby on zrozumiał, jak dalece bezpieczeństwo Ziemi zależy od niego.

Wolt skinął głową. On też wstał i podszedł do ściany. Wyglądała na kompletnie pustą i solidną, ale pod naciskiem dłoni Wolta jej segment przekręcił się, ukazując maleńką windę. Trzej mężczyźni weszli do środka, drzwi się zamknęły, a winda pojechała w dół.

Birrel starał się dobrze skrywać swoje podniecenie. Jego zagranie już się zaczynało opłacać – najwyraźniej mieli pokazać mu coś, o czym nie wiedzieli nawet Ruunici.

Nie potrafił jeszcze powiedzieć, w jaki sposób będzie mógł wykorzystać tę wiedzę, aby pomóc sobie i dwójce swoich przyjaciół. Ale służba w OSS dobrze go wyszkoliła. Utrzymuj swój umysł czujny i elastyczny, graj improwizując w locie i czekaj na przełom, który może nadejść na setki sposobów i z najbardziej nieoczekiwanych źródeł.

Winda zwiozła ich na wąską platformę koło wagonika, który wyjechał po torze, z tunelu wydrążonego w skale pod miastem. Wsiedli do niego i wagonik pomknął przez zatęchłą ciemność, ożywioną kilkoma przyćmionymi lampami. Jechał bardzo szybko.

Birrel obrzucił ukradkowym spojrzeniem pozostałych dwu mężczyzn i zrezygnował z jakichkolwiek pośpiesznych działań. Vannevan trzymał coś ukrytego w dłoni i był Birrel pewien, że to musi być coś niewielkiego i paskudnie potężnego jako broń. Poczeka, spróbuje pociągnąć to dalej…

Znowu pojawiło się światło, nagłe i jasne. Wagonik wpadł w nie, wjeżdżając w ogromną i zupełnie niespodziewaną w tym miejscu pustą przestrzeń. Przez sekundę Birrel myślał, że znaleźli się z powrotem na powierzchni. Potem dostrzegł wysoko w górze skaliste sklepienie oraz rozchodzące się po obu stronach ściany, i zorientował się, że to olbrzymia jaskinia.

Wagonik zatrzymał się. Wyszli na platformę.

— Tędy — wskazał Wolt. — Chcę, żeby zobaczył pan wszystko.

Zeszli z peronu na półkę z poręczami, wyciętą w skalnej ścianie. A Birrel spoglądał ze zdumieniem.

Koniec tunelu i półka, na której stali, znajdowały się mniej więcej w połowie wysokości ściany jaskini. W dole stały jakieś wielkie metalowe konstrukcje, rozciągające się tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, szereg za szeregiem, niektóre pomalowane na ciemną czerwień lub szarości, inne nagie, lśniące stalą lub miedzią.

W jaskini nie było żywej duszy, nie było słychać żadnych odgłosów, widać żadnego ruchu – nic prócz ponurej ciszy i niekończących się rzędów zagadkowych mechanizmów.

Wolt i Vannevan spoglądali na nie z góry, z twarzami ludzi, którzy widzą urzeczywistnienie pięknej i wspaniałej wizji. A Wolt zapytał:

— Czy wie pan, co to jest?

Birrel odparł:

— Nie.

— A jakże by pan mógł? Pańska planeta ciągle pozostaje w żłobku. To jest uzbrojenie – albo będzie, kiedy zostanie zamontowane na statkach. Potężna broń, której brakuje tylko jednego – materiałów rozszczepialnych, które muszą ją zasilać. Materiałów, których nie ma na naszej planecie. Może teraz pan zrozumie, dlaczego musimy zaatakować wasze składy atomowe?

— Ale — zauważył Birrel, wpatrując się z szeroko otwartymi oczami w przerażające rzędy olbrzymich konstrukcji w dole — gdzie są te wasze statki? Potrzebujecie setek…

— Mamy je — przerwał mu Vannevan. — Wszystko, co jest potrzebne, aby raz na zawsze położyć kres dominacji Ruun.

Odwrócił się do Birrela z wyrazem poważnej i przyjaznej szczerości na twarzy, która mogłaby go zwieść, gdyby nie poznał Vannevana tak dobrze.

— Ziemia nie interesuje nas jako cel podboju. Ale nie przeocz faktu, że Ruunici już wiedzą, jak bogata jest wasza planeta. Mogą zdecydować się ją zająć, tak jak zajęli wszystkie planety w tym układzie, poza Ir. A więc pomagając nam złamać potęgę Ruun, tak naprawdę chronisz swoją własną planetę. Co teraz powiesz?

Birrel popatrzył na cichą jaskinię wypełnioną niekończącymi się szeregami śmiercionośnych maszyn. Udawał nieszczęśliwego, rozdartego między zwątpieniem a tęsknotą. Wreszcie powiedział:

— Muszę to przemyśleć. Dajcie mi czas…

Wolt zaczął coś mówić, ale Vannevan rzucił mu spojrzenie i powiedział spokojnie:

— Oczywiście, nie spiesz się. Minie jeszcze kilka dni, zanim statki będą gotowe.

— Statki?

— Lecące na Ziemię. Polecę z nimi, oczywiście, aby poprowadzić atak. Albo, powinienem powiedzieć, przed nimi. Będą czekać w kosmosie, aż otrzymają mój sygnał. Możesz wrócić ze mną, jeśli zdecydujesz się pomóc.

Ponownie, z nutą desperacji w głosie, Birrel powiedział:

— Muszę pomyśleć.

Zabrali go z powrotem do wagonika, wrócili przez tunel i ponownie do budynku. Tam strażnicy zaprowadzili go na górę i umieścili w małym kwadratowym pokoju pozbawionym nawet szczelin w ścianie, wyposażonym w łóżko, stół i krzesło. Zamknęli drzwi i zostawili go tam samego, nie mającego nic do roboty, niczego do oglądania, a jedynym odgłosem jaki słyszał był tylko cichy powiew powietrza wpadającego przez zasłonięty żelaznymi prętami kanał wentylacyjny w suficie.

Maksymalne bezpieczeństwo i brak rozpraszających zakłóceń. W tym miejscu człowiek nie mógł robić nic innego, jak tylko myśleć.

Przyniesiono jedzenie. Strażnik, który je przyniósł, przyznał, że na dworze jest teraz noc, ale nie chciał powiedzieć nic o Karze i Thile'u, ani gdzie byli, ani nawet czy jeszcze żyli.

Birrel zjadł posiłek. Niedługo potem zgasły światła. Po omacku poszedł do łóżka i położył się, próbując znaleźć jakieś wyjście, sposób na to by pomóc Thile'owi i Karze, oraz powstrzymać zło, które miało się wydarzyć, ale widział tylko ciemność.

W końcu, nie zamierzając tego robić, zasnął.

Obudził go dźwięk. Był to bardzo cichy dźwięk i zajęło mu chwilę, zanim zidentyfikował go jako brzęk i zgrzytanie przesuwanej żelaznej kraty. W tym momencie było już za późno.

Ktoś znalazł się już w ciemnym pokoju i zanim Birrel zdążył krzyknąć, leżało na nim ciało człowieka, a na jego gardle zaciskały się silne dłonie.

ROZDZIAŁ IX

Birrel bywał już bliski śmierci, ale nigdy aż tak bardzo. Dłonie zaciskały się, odcinając mu głos i oddech, a ciężar potężnego ciała przygniatał go, trzymając go w łóżku. Usłyszał szybki, chrapliwy oddech, a potem zagłuszyło go dudnienie w uszach jego własnej krwi. Chwycił za nadgarstki, których nie mógł poruszyć, i poczuł, jak osuwa się na niego pierwsza zimna krawędź ciemności.

Potem obwody pamięci zaskoczyły — obwody od dawna nieużywane, ale potrzebujące do swej aktywacji tylko odpowiedniego bodźca.

Birrel złożył razem dwie zaciśnięte pięści i wbił je w górę z desperacką siłą zwierzęcia, które wie, że musi się otrząsnąć albo umrze. Pięści w coś trafiły i w ciemności nad nim rozległ się jęk. Dłonie na jego gardle rozluźniły się nieco, a on machnął rękoma w górę i w tył, w tym samym momencie, zbierając wszystkie siły jakie mu pozostały, zaparł się nogami i szarpnął do góry.

Dłonie puściły. Ciało na nim szarpało się, nie chcąc zostać zrzucone. Uderzył w nie szaleńczo, wściekle, wciągając do płuc zbawcze powietrze. Poczuł pod palcami włosy. Chwycił je w garść i odciągnął na bok. Ktoś jęczał i przeklinał, nie robiąc jednak przy tym zbytniego hałasu. Pociągnął i szarpnął, ciało stoczyło się z niego i upadło na podłogę. Birrel natychmiast rzucił się na nie.

Teraz nadeszła jego kolej.

Wbił kolano w podatny brzuch i usłyszał, jak uchodzi z niego oddech. Pięści przeleciały mu przed twarzą, ale trzymał głowę wciągniętą między zgarbione ramiona. Pomacał w ciemności i znalazł ucho, a potem drugie,

Złapał je jak uchwyty i szarpał w górę i w dół znajdującą się między nimi głową, uderzając nią o podłogę.

— Kim jesteś? — warknął. — Vannevan? Nie, on nie lubi podejmować ryzyka. Ale to on cię przysłał, prawda?

Z ust przyszpilonego pod nim człowieka dobiegło ochrypłe, na wpół artykułowane:

— Nie!

Birrel przerwał mu.

— Niech mnie diabli, jeśli to nie on.

— Niech mnie diabli, jeśli to jego robota. Zabiłbym również i tego morderczego drania, gdybym tylko mógł go dopaść. — Człowiek wił się i walczył o oddech. — W każdym razie, dlaczego Vannevan miałby chcieć cię zabić? Przecież masz zamiar mu pomóc.

— Skąd wiesz? — spytał Birrel, mrużąc oczy w ciemności.

— Całe podziemie o tym wie. Pomagasz mu zdobyć materiały rozszczepialne z twojej planety. Jak myślisz, dlaczego tu jestem? Żeby cię powstrzymać!

Zerwał się nagle do oporu, zaskakując Birrela, który przetrawiał nową koncepcję iriańskiego podziemia przeciwstawiającego się Vannevanowi. Nie było to specjalnie zaskakujące, pamiętając o tych ponurych twarzach na ulicach. Ale przez kilka kolejnych chwil przewracali się, drapiąc i okładając się nawzajem. Teraz jednak działania Birrela miały charakter głównie defensywny.

— Zaczekaj — wydyszał. — Zaczekaj! Mam wrażenie, że jesteśmy po tej samej stronie.

Człowiek roześmiał się ochryple i zaczął szukać jego gardła.

— No dobrze — stwierdził Birrel. — Rozegrajmy to na twój sposób.

Zadał napastnikowi ostry cios kantem dłoni, nieco domyślając się odległości. Trafił trochę za nisko w ramię, ale wstrząsnął przeciwnikiem wystarczająco, by go spowolnić. Birrel działał szybko. W jednej chwili wsunął przedramię pod brodę napastnika, w duszącym nacisku. Naciskał aż mężczyzna ucichł.

Odpuścił.

— Teraz posłuchasz?

Człowiek wyszeptał:

— Tak.

— Istnieje u was jakiś podziemny ruch przeciwko Vannevanowi, Woltowi i innym oligarchom?

— Przeciwko wojnie. Mamy jej dość. Musiałeś widzieć, co ona robi z naszą planetą. Więc zorganizowaliśmy się, kiedy pojawił się ten plan kradzieży materiałów rozszczepialnych z innego układu słonecznego. — Walczył z uściskiem Birrela. — Dziś usłyszeliśmy, że Vannevan sprowadził jakiegoś Ziemianina, który ma mu pomóc…

— Spokojnie — powiedział Birrel. — W niczym nie zamierzam Vannevanowi pomagać — wyjaśnił szybko. — Grałem na czas, czekając na szansę zmiany sytuacji. Zabierz mnie stąd, to ci to udowodnię.

Napastnik pozostał nieprzekonany.

Niecierpliwie Birrel postawił go na nogi.

— Dwóch moich przyjaciół, Ruunitów, jest gdzieś w tym budynku. Jeśli udało ci się dostać do mnie, potrafisz dostać się również i do nich. Chcę ich uwolnić. I chcę porozmawiać z przywódcami waszego podziemia. Między nami mówiąc, wydaje mi się, że możemy mieć szansę na powstrzymanie Vannevana i jego partii, na dobre. Zresztą, co masz do stracenia? Jeśli twoi koledzy będą mieli mnie w swoich rękach, nie będę mógł pomóc Vannevanowi.

Mężczyzna oznajmił niechętnie:

— No dobrze. Mogę skontaktować się z twoimi przyjaciółmi, jeśli naprawdę chcesz ich uwolnić. Pomogłem zbudować ten budynek. — Odsunął się od Birrela, rozcierając sobie gardło. — Zdejmij buty i zostaw wszystkie przedmioty zawierające metal, które masz przy sobie.

Birrel zrobił, jak mu kazano.

— Teraz sięgnij ręką w stronę kraty. Znajdziesz przywiązaną linę. Zachowuj się tak cicho, jak tylko możesz.

Birrel wspiął się po linie do miejsca, w którym kanał wentylacyjny robił się wystarczająco płaski, by mógł się do niego wczołgać. Usłyszał, jak mężczyzna zakłada za nimi z powrotem kratę. Potem dołączył do niego i rozpoczęli powolną, podobną do kreciej, podróż przez labirynt kanałów wentylacyjnych, które zaopatrywały wewnętrzne cele prywatnego więzienia Ministerstwa.

Przybysz dość łatwo odnajdywał w nim drogę. Na każdym skrzyżowaniu kanałów świeciły się świetliste numery kodowe:

— Aby pomóc nam, gdy dokonujemy napraw — szepnął mężczyzna i roześmiał się. — Przez cały czas używamy tych kanałów do szpiegowania. Przypuszczam, że dzisiejsza noc zakończy ich przydatność do tego celu, ale znajdziemy jakiś inny sposób.

Podziemie wiedziało, gdzie uwięziono Thile'a i Karę, i to niemal natychmiast po umieszczeniu ich w celi. Dwukrotnie została spuszczona lina z węzłami i dwukrotnie zdjęto kratę, a następnie ponownie ją założono. Birrel zszedł po Karę i przez sekundę lub dwie trzymał ją w ramionach, zanim nie podniósł jej do kanału.

Jakiś czas później, nie miał pojęcia jak długo to trwało, przedostali poniżej poziomu budynku, do suchego kanału odpływowego, który według ich przewodnika pozostał z poprzednich lat, zanim miasto zostało przebudowane. Pokonali kanałem pewną odległość, potem wspięli się po drewnianych schodach do piwnicy, a stamtąd weszli do największego pokoju skromnego domu, gdzie czekało pół tuzina sprawnych ludzi o twardych twarzach.

Gdy weszli Birrel i pozostali, poderwali się, dwóch lub trzech z nich sięgnęło po broń. Nastąpił okres gorączkowych rozmów, a potem jeden z ludzi krzyknął o porządek i go przywrócono.

— A teraz — powiedział — posłuchajmy o tej całej sprawie. Wy pierwsi.

On słuchał, inni słuchali również, lecz przez cały czas obserwowali Birrela z nienawiścią i nieufnością.

Niecierpliwie, zanim ich przewodnik skończył mówić, dlaczego nie zabił Ziemianina, Birrel przerwał mu, by porozmawiać z Thile i Karą.

— Pokazali mi coś dzisiaj — powiedział. — Vannevan i Wolt. Grota pełna uzbrojenia – wystarczy, by zdmuchnąć Ruun z nieba, gdy tylko zdobędą potrzebne materiały rozszczepialne.

Thile odparł:

— Mieliśmy pojęcie, że istnieje takie miejsce, ale nigdy nie mogliśmy określić jego położenia.

— My też nie — dodał mężczyzna, który wydawał się być przywódcą całej grupy. Spojrzał twardo na Birrela. — To bardzo dobrze strzeżona tajemnica.

— Z biura Wolta prowadzi do niego bezpośrednie przejście — poinformował ich Birrel i opisał je. — A teraz posłuchajcie. Jeśli uda nam się uciec, przekażcie na Ruun…

— Jeśli myślisz o statku, to niemożliwe. Na ziemi są zbyt dobrze strzeżone, a baterie rozerwałyby cię na kawałeczki, zanim zdążyłbyś opuścić atmosferę.

— W takim razie — powiedział Birrel, — czy jest jakiś sposób na przesłanie wiadomości? Czy możecie komunikować się z planety na planetę?

— Całkiem łatwo — odparł Thile. — Ale wszystko sprowadza się do tej samej starej rzeczy. Dowody.

— Na litość boską — stwierdził Birrel, — ilu dowodów oni potrzebują?

— Całkiem sporo, żeby na czas zmusić ich do działania. Zakładam, że to właśnie masz na myśli, prawda? Rozwalić jaskinię i zniszczyć uzbrojenie?

— Chcę powstrzymać tę flotę przed wyruszeniem na Ziemię. Jeśli nie będzie żadnej możliwości wykorzystania materiałów rozszczepialnych, Vannevanowi może się nie śpieszyć.

Pozostali ludzie słuchali teraz z ogromnym zainteresowaniem. Wyglądało na to, że w znacznym stopniu zapomnieli już o swojej nieufności, w podekscytowaniu poznaniem tajemnicy jaskini. Przywódca, który mówił, że nazywa się Shannock, powiedział ostro:

— To uzbrojenie kosztowało nas lata pracy i fortunę w pieniądzach z podatków, z naszych kieszeni. Utrzymywało nas w biedzie, kiedy mogliśmy rozwijać handel i interesy w pokojowym świecie. Gdyby zostało zniszczone, partia wojny upadłaby razem z nim.

Thile stwierdził tęsknie:

— To piękna myśl. Ale zanim nasi ostrożni przywódcy na Ruun upewnią się, że nie popełniają błędu, będzie już za późno.

— Musi być jakiś sposób — rzekł Birrel, krążąc po pomieszczeniu w mękach frustracji. Jakiś sposób. Jakiś… posłuchaj, czy możecie transmitować z planety na planetę wiadomości wizualne? Czy potraficie przesłać na Ruun obrazy?

— Oczywiście — odparł Shannock, nieco zszokowany jego ignorancją. — Międzyplanetarny automatyczny system przekaźników działa odkąd nauczyliśmy się budować statki kosmiczne.

Potem na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

— Chodzi ci o nadawanie prosto z jaskini?

— To byłby wystarczający dowód, prawda? — dopytywał się Birrel. — Gdybyśmy pokazali im prawdziwą jaskinię, i prawdziwe uzbrojenie?

Wyglądający na nieco oszołomionego Thile powiedział, że to powinien być wystarczający dowód dla każdego.

— Jest tylko jedno pytanie. Jak zamierzasz to zrobić?

— Technicznie, naprawdę da się przeprowadzić taką transmisję?

— Tak, przy wykorzystaniu specjalnego rodzaju nadajnika.

Birrel popatrzył na ludzi z podziemia.

— Jeśli pomożecie, powinniśmy być w stanie podjąć skuteczną próbę. Ilu ludzi możecie zebrać na szybko – uzbrojonych?

— Około dwudziestu — odparł Shannock. — Oprócz nas.

— A czy jesteście w stanie zdobyć przenośny sprzęt do transmisji?

— Spokojnie. Z tego co wiemy, powinniśmy również bez trudu dostać się do budynku Ministerstwa. Ale dalszą drogę będziemy musieli sobie wywalczyć. Najprawdopodobniej niektórym z nas się nie uda.

— Zapewne — przyznał Birrel, prywatnie sądząc, że najprawdopodobniej nikomu z nich nie uda się przeżyć do końca tej awantury. — Ale skoro w taki czy w inny sposób wszyscy mamy zawisnąć na szubienicy, to zdaje się jest nasza jedyna szansa, żeby trochę wkurzyć Wolta i Vannevana. Nie chcielibyście spróbować?

— Daj mi pół godziny — poprosił Shannock. W jego oczach zapłonął dziki blask.

Birrel zaczekał. Minęło nieco mniej niż pół godziny, a wydawało się, że to tylko chwila, ponieważ spędził je na rozmowie z Karą, a to co chciał jej powiedzieć, zajęłoby wiele godzin. Może lat. Kiedy w końcu, już uzbrojony i w towarzystwie dwudziestu siedmiu zdeterminowanych ludzi z podziemia, razem z Thile ruszyli z powrotem przez kanał, Kara poszła z nimi. Nie mieli bezpiecznego miejsca, w którym można by ją było zostawić, a poza tym Kara była żołnierzem, na równi ze wszystkimi pozostałymi. Miała broń i szła obok Birrela, a wkrótce przestało mu się wydawać niezwykłe, że tak zrobiła, lecz raczej że mogłoby być inaczej.

Tym razem nie weszli do systemu kanałów wentylacyjnych. Przeszli przez właz odwadniający do nieużywanej piwnicy, a stamtąd bezpośrednio do głównego holu Ministerstwa.

Było już po północy i w budynku panowała zupełna cisza. Strażnicy stali na swoich posterunkach, ale wysyp uzbrojonych ludzi do holu nastąpił tak nagle, że mieli tylko czas na oddanie tylko kilku pojedynczych strzałów, zanim zginęli. Z innych części budynku zaczęły dochodzić krzyki, odgłosy alarmu i tupot biegnących stóp. Zostawiając jednego z ludzi na podłodze holu, grupa atakujących wpadła do biura Wolta i zaryglowała drzwi.

— Utrzymajcie je — wydyszał Birrel, — dopóki nie znajdę właściwego kamienia.

Gorączkowo gładził ścianę, próbując przypomnieć sobie dokładnie, gdzie Wolt położył rękę. Na zewnątrz słychać było tupot nóg i narastający zgiełk głosów.

— Nie możesz go znaleźć? — spytał Thile.

Shannock rozkazał swoim ludziom wycofać się spod drzwi. Zgrupowali się za Birrelem, z tymi którzy dźwigali przenośny nadajnik.

— Lepiej go znajdź — stwierdził Shannock — albo…

Jego słowa utonęły gromkim huku, wysadzanych drzwi. W pomieszczeniu zaczęły syczeć i jęczeć wystrzały z broni.

— Zatrzymajcie ich, zatrzymajcie — błagał Birrel. — Jest tutaj…

Kamień pod jego palcami poruszył się. Ukryte drzwi otworzyły się. Birrel przepchnął przez nie Karę, a potem ludzi z nadajnikiem. Wpakowali się wszyscy do małej windy i pomknęli na dół, przez cały czas strzelając, gdy zamykały się automatyczne drzwi. W biurze stracili kolejnych czterech ludzi.

— W samej jaskini nie ma strażnika, nie chcieli, aby zbyt wielu ludzi o niej wiedziało — powiedział Birrel. — Ale wkrótce zaczną nas ścigać z tego końca.

Zniszczyli drzwi windy najmocniej, jak mogli, mając nadzieję, że ją uszkodzą, a potem załadowali się do wagonika i pognali ciemnym tunelem.

— Przyjdą po nas, zgadza się, ale spacer zajmie im trochę czasu — rzucił kpiąco Shannock.

Wagonik wyjechał z ciemności do jaskini, zatrzymując się przy oświetlonym peronie. W tej ogromnej przestrzeni pełnej mnóstwa cichych, paskudnych metalowych rzeczy, głosy ich rozmów i odgłosy poruszania się, wydawały się nienaturalnie głośne.

Shannock zaczął wyszczekiwać rozkazy.

— Ustawcie nadajnik na półce tutaj. Zniszczcie ten wagonik. Potem lepiej rozstawmy nasze siły. Połowa ludzi tutaj, żeby utrzymać tunel, a połowa na dole, na wypadek gdyby przyjechali jakąś inną drogą.

Thile i Kara zostali z technikami. Będą musieli mówić podczas transmisji. Birrel został przy wejściu do tunelu z porucznikiem Shannocka i połową ludzi.

Shannock i reszta ludzi zeszła po spiralnych stalowych schodach, które prowadziły w budzący zawrót głowy sposób ze skalnej półki na dno jaskini.

Ludzie Birrela pozbierali dodatkową broń zabraną swoim poległym i strażnikom, których zabili w budynku, i razem z nią skryli się za barykadą z rozbitego wagonika.

Birrel obserwował techników na półce. Doszedł do wniosku, że mają sposoby na pokonanie trudności, które byłyby nie do przezwyciężenia na Ziemi, używając nieznanych mu rodzajów impulsów, nadajników i fal nośnych. Sprzęt nie przypominał zbytnio sprzętu telewizyjnego, jaki był mu znany. W każdym razie technicy zdawali się wiedzieć, co robią. Miał nadzieję, że tak jest. Szkoda by było zadać sobie tyle trudu na nic.

Dostrzegł Thile'a, a potem Karę, wykonujących ożywione gesty, gdy mówili do nadajnika. Najwyraźniej mieli przynajmniej na tyle dużo czasu, aby wysłać wiadomość w drogę. Potem, przerażająco nieoczekiwanie, zdawało się że z powietrza przemówił głos Boga, ogłuszając ich zupełnie.

— Odłóżcie broń! — oznajmił. — Poddajcie się… jesteście otoczeni ze wszystkich stron…

— Wzmacniacze — stwierdził Birrel. — Musieli ich potrzebować, żeby utrzymywać porządek w miejscu tej wielkości. Uważajcie teraz. Zaraz na nas ruszą…

I tak zrobili, wychodząc z ciemnego tunelu w furii błyskających wiązek promieni ze swej broni.

Zza rozbitego wagonika ktoś rzucił granat energetyczny, a potem drugi. Skutki były trochę zbyt dobre. Zapadło się całe sklepienie tunelu, skutecznie blokując go przed wrogiem, ale też odcinając wszelką możliwość przebicia się przez niego.

Birrel rozejrzał się. Thile, Kara i technicy nadal zajmowali się swoją pracą. W dole, na dnie jaskini, Shannock odparł atak, ale ze swego miejsca Birrel widział ludzi ukrywających się wśród rzędów maszyn i wiedział, jak bardzo przewyższają oni liczebnie Shannocka.

Rzucił się po spiralnych schodach, a pozostali ruszyli za nim. Głośniki ryczały monotonnie w górze, nakazując im się poddać. Birrel zajął pozycję za olbrzymią, metalową konstrukcją, a potem popatrzył do góry na półkę. Thile, Kara i technicy zniknęli. Moment później zobaczył, jak schodzą po schodach z zawrotną szybkością i niemalże w tej samej chwili coś eksplodowało na półce z oślepiającym błyskiem, i nadajnik zniknął.

— Poddajcie się — grzmiały wzmacniacze. — Jeśli to zrobicie, zapewnimy wam sprawiedliwy proces, ale jeśli tego nie zrobicie, zostaniecie zabici do ostatniego człowieka. Poddajcie się…

Thile i Kara dołączyli do Birrela za jego metalową osłoną, ciężko dysząc.

— Przebiliście się? — zawołał.

— Nie wiemy. Nie było czasu na potwierdzenie.

— Nadchodzą! — wrzasnął Shannock.

I przybyli, prześlizgując się wśród majaczących kształtów narzędzi potencjalnego zniszczenia, strzelając, zabijając, ginąc, po to by zostać po raz drugi odpartymi.

W tej samej chwili głośniki chwilowo ucichły, a po pewnym czasie odezwał się w nich inny głos. Głos Vannevana.

— Policzcie swoich zabitych. Nie możecie ich zastąpić, a my swoich możemy. Jak długo zdołacie się utrzymać?

— Dopóki przy życiu zostanie choćby jeden z nas! — odkrzyknął Shannock.

— To nie potrwa długo, prawda? Nie bądź głupi, człowieku. Poddajcie się.

Odpowiedział mu Birrel.

— To ty się poddasz, kiedy przybędą statki z Ruun.

Vannevan roześmiał się.

— Aaa, Ziemianin. Nadal myślisz, że Ruunici będą walczyć, co? Otóż nie, nie będą.

Ludzie Vannevana znowu zaatakowali i znów zostali odparci, a raczej, pomyślał Birrel, wycofali się, zadowoleni z redukcji liczby przeciwników bez narażania się bardziej, niż musieli.

Głośniki znów przemówiły. Ale nagle głos zmieniły ton i nie mówiły już o kapitulacji.

— Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z Ruun. W ciągu godziny statki Ruunitów zajmą pozycję nad tym celem i zniszczą go. Wszystkich obecnych na tym obszarze ostrzega się, aby natychmiast go opuścili. Powtarzam tę wiadomość. W ciągu godziny statki Ruunitów zajmą pozycje…

W szeregach rebeliantów wybuchło pandemonium.

— Słyszałeś to, Vannevan? — krzyknął Birrel. — Jesteś skończony.

Vannevan nie odpowiedział.

Głośniki zamilkły. Birrel popatrzył na Thile'a, a potem na Shannocka, który powiedział:

— Oni się nie wycofają.

— Vannevan — oznajmił głośnik, — tu mówi Wolt. Wycofuję się stąd i radzę ci zrobić to samo. Największą cnotą jest wiedzieć, kiedy nadszedł czas na ucieczkę.

Nadal nie było żadnego słowa ani znaku od Vannevana.

Głośniki milczały. W oddali słychać było odgłosy wycofujących się ludzi.

Jeden z członków ruchu oporu z niecierpliwością skoczył w otwarte przejście między maszynami.

— Do diabła — zawołał — musieli się wycofać. Lepiej...

Umarł w pół słowa i nagle siedmiu czy ośmiu ludzi wyskoczyło z pobliskiego miejsca, w które się podkradli, i rzuciło się na nich, strzelając. Prowadził ich Vannevan. Dla Vannevana nie było pokoju, nie było kapitulacji, ani wycofania się.

Zobaczył Birrela z Thile i Karą, uśmiechnął się i uniósł broń, a Birrel strzelił do niego tuż przed tym, jak jego palec dotknął spustu.

Ci z tych siedmiu czy ośmiu atakujących, którzy jeszcze żyli, rzucili broń.

Shannock stwierdził:

— Myślę, że teraz już możemy stąd iść.

Ruszyli za wziętymi do niewoli żołnierzami do odległego wejścia do jaskini, pozostawiając Vannevana leżącego tam, gdzie padł wśród swoich maszyn.

Godzinę później Birrel wraz z innymi stał na czele tłumu ludzi stłoczonego poza miastem i obserwował wielkie statki Ruunitów zajmujące pozycję nad wskazanym miejscem. Z ich brzuchów wystrzeliły potężne błyskawice. Dym, pył i roztrzaskane skały uniosły się w olbrzymią chmurę i ponownie opadały, w ziemi pojawiła się wielka ziejąca dziura, a mimo tego błyskawice ciągle w nią uderzały, dopóki z jaskini ani tego, co się w niej znajdowało, nie pozostało zupełnie nic.

Shannock i jego ludzie potężnie wiwatowali. Większość tłumu Irrian przyglądała się w milczeniu, nie przyzwyczajona jeszcze do idei pokoju.

Birrel, co dosyć dziwne, nie myślał o Ruun ani o Irr, lecz o Ziemi.

ROZDZIAŁ X

Statek po wielkim łuku skręcił w stronę nocnej strony Ziemi i pierwszy z Ziemian, którzy znaleźli się w kosmosie, Birrel, poczuł ostrą, nostalgiczną emocję z powrotu na planetę, która zawsze będzie dla niego „światem".

Był na mostku razem z Thile i Karą. Kara milczała, patrząc na zacienioną powierzchnię leżącej przed nimi planety, w ogóle nie spoglądając na Birrela. Thile był bardzo zajęty i głośno o tym mówił.

— Wystarczająco trudno jest wylądować na obcej planecie — stwierdził. — A ja w dodatku muszę to zrobić potajemnie, niezauważony… no cóż, cieszę się, że to ostatni raz.

Ostatni raz, pomyślał Birrel. Ostatni statek, który przyleci z gwiazd na Ziemię — przynajmniej na bardzo, bardzo długi czas. Nie podobała mu się ta myśl. Sprzeciwiał się temu tam, w innym układzie, na Ruun.

Ludzie, którzy rządzili Ruun, byli mądrzy, mieli dobre intencje, ale byli uparci. Przywitali Birrela. Byli mu wdzięczni. Zgodzili się odwieźć go na jego własną planetę. Ale w jednym byli nieugięci. Nie będzie szybkiego otwarcia gwiezdnych szlaków, żadnego otwartego kontaktu między Ruun a Ziemią.

Birrel, z głową pełną wizji nagłego skoku do gwiazd, dokonanego przez ludzi na Ziemi, błagał. Ale na próżno.

— Twoja planeta, Ziemia, nie jest jeszcze gotowa — oznajmił przywódca Rady Ruun. — To nawet nie jest jeszcze jedna planeta. Kiedy się taką stanie – kiedy zapomni o szaleństwie wojen i broni – wtedy nie będziemy musieli do was przylatywać. Wy przylecicie do nas.

Złagodził tę ostateczną odmowę ofertą.

— Ale ty, który tak wiele dla nas zrobiłeś, możesz zostać tutaj, na Ruun, jeśli chcesz.

— Nie mogę — odparł ciężko Birrel. — Jestem agentem wysłanym na misję. Gdybym nie wrócił, ci, którzy mnie wysłali, nigdy nie dowiedzieliby, co się ze mną stało — żyliby w nieustannej obawie przed atakiem z kosmosu. Muszę wrócić i przedstawić raport.

— A więc zostaniesz odwieziony na Ziemię. Ale potem żaden z naszych statków tam już nie poleci.

A teraz ten ostatni statek z kosmosu cicho schodził w stronę nocnej strony powierzchni Ziemi. Kara nadal milczała, a serce Birrela cierpiało.

Thile, przy panelu ze sterami, powiedział sternikowi:

— Teraz cicho, cicho, czy chcesz obudzić cały ten przeklęty kontynent?... Cicho... ach!

Wylądowali.

Thile i Kara zeszli w ciemności po drabince, razem z Birrelem. Stanęli z nim koło ogromnego statku.

Wysokie drzewa wokół nich były czarne i niewyraźne, ale w ostrym powietrzu unosiła się woń sosen, a zapachy, dźwięki i ogólne wrażenie wszystkiego, były znów subtelnie takie jak być powinny.

— Wylądowaliśmy znacznie dalej na południe niż ostatnim razem, więc wkrótce zdołasz odnaleźć drogę i ludzi — powiedział Thile. — No cóż, chłopcze...

Uścisnął dłoń Birrelowi, a potem odwrócił się i uścisnął dłoń Karze, pocałował ją i powiedział:

— Robisz cholernie głupio, ale ja zrobiłbym tak samo — odwrócił się i ruszył z powrotem po drabince.

Birrel wykrztusił wreszcie:

— Kara...

— Tak — powiedziała. — Zostaję.

Wziął ją w ramiona i znów był w stanie tylko wymówić jej imię, ale po chwili przerwała mu:

— Musimy odejść dalej, zanim statek wystartuje.

— Nie mogę ci na to pozwolić! — zawołał. — Dlatego nigdy bym cię o to nie poprosił. Żaden statek nie przyleci, a ty w końcu poczujesz znużenie życiem tutaj i...

— Tak, tak — powiedziała, tak jakby uciszała niespokojne dziecko — wszystko to wiem. Ale w tej chwili musimy odejść dalej od statku.

Kilka minut później, z oddalonego o tysiąc jardów wzgórza, doleciał do nich grzmot i zobaczyli szybko gasnący podmuch ognia, po czym ujrzeli wielki srebrny statek śmigający w niebo, i niemal natychmiast znikający w oddali.

Birrel, trzymając Karę w ramionach, patrzył razem z nią w rozgwieżdżone niebo i zobaczył na tle gwiazd poruszający się cień, który był tam przez chwilę, a potem zniknął, jakby go w ogóle nie było.

Zastanawiał się, czy w nadchodzących latach będzie przez cały czas spoglądać w rozgwieżdżone niebo, z głową pełną wspomnień i tęsknotą w sercu. Miał nadzieję, modlił się o to, że ona nie będzie.

KONIEC